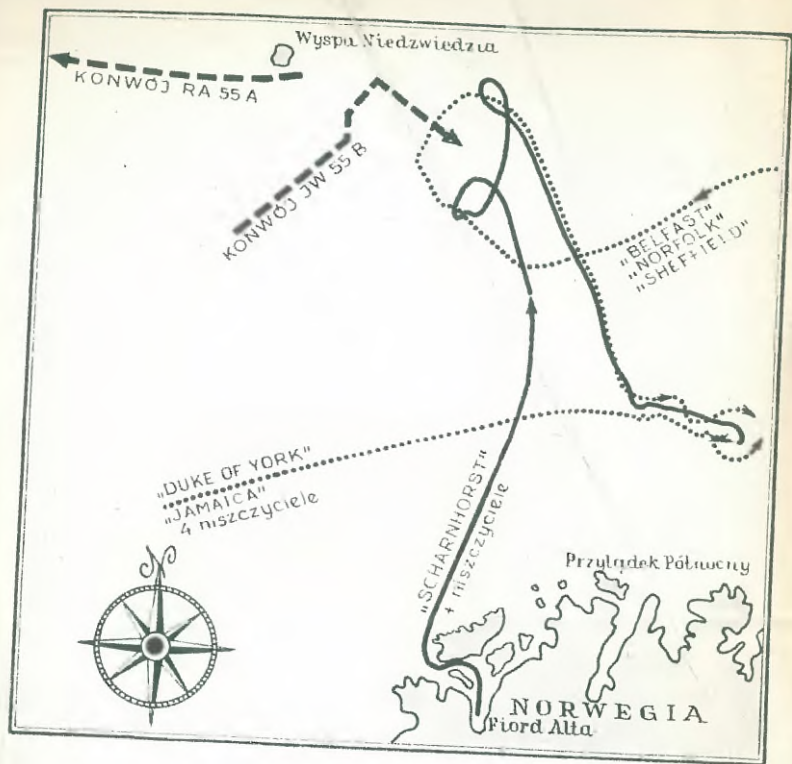




# BITWA ZA PRZYLĄDKIEM PÓŁNOCNYM





Bitwa za Przylądkiem Północnym

**ANDRZEJ PEREPECZKO**

**BITWA  
ZA PRZYLĄDKIEM  
PÓŁNOCNYM**

258020

80436

①



**WYDAWNICTWO MORSKIE GDAŃSK 1969**

# MINIATURY MORSKIE

tomik 145

Seria: **Epizody wojen morskich**  
Zeszyt 44: *Bitwa za Przylądkiem Północnym*

Okladkę projektował: ADAM WERKA

Zdjęcia pochodzą z książek:

C. Bekker *Kampf und Untergang der Kriegsmarine*.  
Hannover 1953.

E. Brookes *The Gates of Hell*. London 1960.

B. B. Schofield *The Russian Convoys*. London 1964.

S. W. Roskill *The War at Sea 1939—1945*. London 1960.



EO

1526

~~020829~~

821,162.1-311.6

Redaktor  
Elżbieta Babińska

Redaktor techniczny  
Kazimierz Proch

WYDAWNICTWO MORSKIE GDAŃSK 1969

Wydanie pierwsze. Nakład 60000+250 egz. Ark. wyd. 3,5. Ark. druk. 2. Papier roto-  
grawiurowy sat. V kl. 70 g z fabryki papieru w Szczecinie-Skolwinie. Oddano do skła-  
dania 29 IV 1969 r. Podpisano do druku i druk ukończono we wrześniu 1969 r.

Zam. nr 1105/69

G-2/901

Cena zł 5.—

Poznańskie Zakłady Graficzne im. M. Kasprzaka, Poznań ul. Wawrzyniaka 39

~~K-Akc-190/69~~

Prze - Akc. P-021/2001

## W FIORDZIE ALTA

Mesa podoficerska na niemieckim okręcie liniowym „Scharnhorst” wyglądała niezwykle uroczyście i odświętnie. W rogu zieleniła się rozłożysta jodła ubrana świecidelkami, błyszcząca kolorowymi, migającymi lampkami. U sufitu, podwieszone do mocnych stalowych wsporników, kołysały się wieńce z jemioli.

— „Stille Nacht, heilige Nacht” — zaintonował mat Horst Kuntze. Siedzący przy stole podoficerowie podnieśli w górę kubki wypełnione czerwonym winem — świąteczny przydział wydany przez kwatermistrza okrętu — i w ciasnej mesie popłynęła sentymentalna melodia międzynarodowej kolędy.

— „Cicha noc, święta noc...”

Okręt liniowy „Scharnhorst” stał już od dłuższego czasu na wodach fiordu Alta, w głębi norweskiej Arktyki, daleko za północnym kręgiem polarnym. Załoga, licząca przeszło 2000 ludzi, spędzała czas we względnej bezczynności, którą wypełniały nudne, powtarzające się bez przerwy, wciąż takie same ćwiczenia. Alarm przeciwlotniczy, alarm bojowy, alarm przeciwwawaryjny. Szkolono też kilkudziesięciu kadetów marynarki wojennej, przysłanych prosto ze szkoły w Wilhelmshaven. Wszystkie te zajęcia nie mogły jednak wypełnić całkowicie czasu i załoga nudziła się w pozbawionej jakichkolwiek rozrywek dalekopółnocnej bazie.

W pobliżu „Scharnhorsta”, również we fiordzie Alta, stacjonował uszkodzony we wrześniu 1943 roku przez śmiały atak miniaturowych angielskich okrętów podwodnych niemiecki okręt liniowy — „Tirpitz”. Nie był on jednak na razie gotowy do akcji w morzu, a remont miał zakończyć się dopiero w marcu 1944 roku.

Święta Bożego Narodzenia 1943 roku nie były dla mary-

narzy niemieckich radosnymi świętami. Wojna trwała już przeszło cztery lata, a sytuacja na froncie wschodnim pogarszała się z dnia na dzień. Dawno minęły pełne optymizmu i entuzjazmu czasy, kiedy kolejne komunikaty niemieckie Głównej Kwatery donosiły o zdobyciu nowych miast, o wygranych bitwach, o zajęciu nowych ziem. Armia Czerwona, po zadaniu decydującego ciosu wojskom hitlerowskim pod Stalingradem, ruszyła do kontrofensywy. W październiku 1943 roku wojska radzieckie przekroczyły Dniestr, 6 listopada odbiły Kijów.

Również na południu Europy niemieckie dowództwo nie mogło poszczycić się żadnymi sukcesami. Jeszcze latem upadł faszystowski reżim Mussoliniego, a we wrześniu Włochy skapitulowały przed sprzymierzonymi.

W listopadzie wojska anglo-amerykańskie, walczące we Włoszech, wyparły Niemców na tak zwaną Linie Gustawa, której kluczową pozycję stanowiło Monte Cassino.

Stan posiadania wielkiej „tysiącletniej” Rzeszy — jak buńczucznie określała ją propaganda goebbelsowska — kurczył się gwałtownie.

Mimo niewesołej dla armii niemieckiej sytuacji załoga „Scharnhorsta” uroczyście świętowała kolejne Boże Narodzenie. Mieli zresztą własne, prywatne niejako, powody do radości. Okręt liniowy „Scharnhorst” nazywany był w niemieckiej marynarce wojennej „szczęśliwym okrętem” — rzeczywiście bowiem dopisywało mu szczęście. Wypad na „Scharnhorst”



atlantycki rajd w lutym i marcu 1941 roku wraz ze swym bliźniaczym „Gneisenau” zakończył sukcesem. Zatopiono wówczas 22 alianckie statki handlowe. W rok później w lutym 1942 roku „Scharnhorst” wraz z dwoma jeszcze niemieckimi okrętami liniowymi przedarł się przez kanał La Manche z Brestu do Wilhelmshaven. Mimo dwukrotnego wejścia na minę udało mu się bez większych strat dotrzeć do portu przeznaczenia.

Wysłany po remoncie na daleką Północ brał udział wraz z „Tirpitzem” i „Lützowem” w tak zwanej „zakłamej operacji”, mającej na celu zniszczenie alianckiej bazy na wyspie Spitsbergen.

Gdy 22 września 1943 roku do fiordu Alta wyruszyło 6 angielskich miniaturowych okrętów podwodnych, aby zaatakować stojące tam niemieckie okręty liniowe, „Scharnhorstowi” znowu dopisało szczęście. Dzień przedtem otrzymał on rozkaz zmiany swego stałego miejsca postoju i angielskie torpedy, przeznaczone dla niego, uszkodziły „Tirpitz”.

Obecnie, gdy „Tirpitz” leczył swoje rany, a „Lützow” został odesłany na Morze Bałtyckie, „Scharnhorst” był jedynym ciężkim niemieckim okrętem, który mógł zagrażać liniom komunikacyjnym na trasie do Murmańska.

— Przestoimy tu spokojnie do końca wojny — dowodził teraz głośno mat Gödde, podochocony wypitym po obiedzie winem. — Anglicy robią w portki na samo słowo „Scharnhorst” i wystarczy nasza obecność w Alta, aby paraliżować alianckie konwoje.

— Chciałbyś zadekować się w tym samym czasie, kiedy nasi koledzy z broni podwodnej zadają cios po ciosie angielskiej i amerykańskiej żegludze! — z kąta wstał tęgi, czerwony na twarzy mat Moritz. — Chcesz wygrzewać się tu, zbijać bąki, przesypiać każdą wolną od służby godzinę w tym samym czasie, kiedy nasze dzielne oddziały odpierają nawałę bolszewicką na całym Ostfroncie?!

— Jeden gra w skata, a drugi studiuje *Mein Kampf* — odciął się Gödde.

— A co, nie podoba ci się książka naszego führera? Największe dzieło, jakie kiedykolwiek ukazało się drukiem, de-kowniku! — Moritz podniósł głos do krzyku. — Już ja cię nauczę!

— Coś taki bohater, Moritz? — Götde nalewał sobie drugą szklanekę wina. — Śpieszy ci się na morze? To idź, zgłoś się na U-booty, tam czekają na takich jak ty ochotników. Mnie dobrze na „Scharnhörście” i wolę tu siedzieć, niż tam trząść portkami czekając, która bomba głębinowa trafi. A ostatnio Anglicy nauczyli się polować na nasze U-booty.

Mat Moritz znowu podniósł się ze swego kąta.

— Skąd masz takie wiadomości, Paul? — wlepił w Götde go jasne, prawie bezrzęse oczy. — Skąd wiesz?...

— Miałem list ze sztabu — próbował żartować Götde.

— Uważaj, co mówisz, Paul — Moritz pogroził zaciśniętą pięścią. — Ja ci mówię, uważaj na swoją gębę. Wyśmiewasz książkę naszego führera — trzasnęła obcasami pod stołem — *Mein Kampf* ci się nie podoba, rozsiewasz defetystyczne pogłoski z radia BBC, podsłuchane pewno w czasie służby na radiostacji. Uważaj, Paul, jeszcze słowo, a będziesz się musiał cholernie tłumaczyć przed panami, z którymi chyba nie masz wielkiej ochoty się widzieć.

— Spokój, bez awantur — zakrzyczano od stołów. — Dziś Boże Narodzenie. Wypijcie jeszcze po jednej szklaneczce. Zaśpiewajmy kolędę.

„Cicha noc, święta noc ...”

Rzeczywiście noc — mat Kuntze spojrzął na zegarek. Dopiero druga w południe, a na zewnątrz ciemno, choć w pysk daj. Na dwa kroki nie widać, zimno, zacina deszcz ze śniegiem. Polarna noc. I tak bez zmian przez kilka miesięcy. Diabelski koniec cholernego świata. Jak tu żyć na tym wygwizdowie. Bez przerwy sztorm, wiatr, śnieg, mróz.

— Brz... — wstrząsnął się na samą myśl o tym, co się działo na zewnątrz, poza przytulną w tej chwili, buchającą ciepłem, wypełnioną zapachem wina i palonych cygar — mesą.

W tym samym czasie komandor Julius Hintze — dowódca okrętu liniowego „Scharnhorst” i kontradmirał Erich Bey —

dowódca zespołu stacjonujących w fiordzie Alta okrętów siedzieli w kabinie dowódcy przy dobrej, prawdziwej kawie — dość rzadki rarytas w czwartym roku wojny w blokowanej ze wszystkich stron Rzeszy. Otwarta butelka zdobycznego francuskiego koniaku była już opróżniona prawie do połowy.

— Prosit, Erich! — komandor Hintze wznosił kieliszek do góry.

— Prosit, Julius! — kontradmirał znał komandora od wielu lat.

Obaj czekali teraz na rozkazy z dowództwa Niemieckiej Marynarki Wojennej. Według meldunków zwiadu lotniczego i przeciwpodwodnego od strony Islandii zbliżał się konwój aliancki złożony z 19 statków, eskortowany przez 10 niszczycieli i 3 trałowce.

Konwój oznaczony kryptonimem JW 55B opuścił Loch Ewe w dniu 20 grudnia, a już w dwa dni później został wykryty przez niemieckie samoloty. Polarny mrok spowodował jednak pomyłkę obserwatora i dowództwo niemieckie w Norwegii zostało zaalarmowane, że do brzegów norweskich zbliża się konwój złożony z 40 transportowców, eskortowany przez silny zespół ciężkich jednostek. Obawiając się ataku aliantów na któryś z portów norweskich Niemcy nakazali koncentrację okrętów podwodnych u wejścia do fiordu Vest. Wkrótce jednak okazało się, że wykryty konwój jest typowym konwojem arktycznym i admirał Dönitz rozkazał skierować się ośmiu okrętom podwodnym w pobliże Wyspy Niedźwiedziej i tam oczekiwać na okazję do ataku. Równocześnie powstał plan wykonania operacji oznaczonej kryptonimem „Ostfront”, polegającej na wysłaniu przeciwko konwojowi okrętu liniowego „Scharnhorst” w asyście pięciu niszczycieli klasy „Narvik”.

Akcja taka, w przypadku odnalezienia konwoju przez niemieckie jednostki, mogła zakończyć się całkowitą zagładą konwoju, uzbrojenie bowiem „Scharnhorsta” i jego potężny pancierz dawały mu — przy znacznej szybkości — kolosalną przewagę nad niszczycielami eskorty. Dowództwo niemieckie czekało więc na odpowiedni moment do rozpoczęcia akcji, pilnie studiując napływające meldunki. Chodziło o to, czy



*Krążownik „Shetfield” eskortujący konwój*

w pobliżu nie znajdują się jakieś znaczniejsze nawodne siły alianckie, które mogłyby zagrozić „Scharnhorstowi”.

Tymczasem w dniu 25 grudnia 1943 roku w okolicach Wyspy Niedźwiedziej znajdował się nie wykryty dotychczas przez Niemców konwój RA 55A, złożony z 22 pustych statków osłanianych eskortą 10 niszczycieli, zdążający z portów radzieckich do Wielkiej Brytanii kursem północno-zachodnim w kierunku Islandii. Statki tego konwoju z każdą godziną oddalały się od najbardziej zagrożonego rejonu, od najniebezpieczniejszego odcinka murmańskiej trasy, którym były okolice Wyspy Niedźwiedziej. Obszar ten pokrywały bowiem niemieckie bombowce, bazujące na północnych lotniskach Norwegii, patrolowały niemieckie okręty podwodne, a ciężkie okręty nawodne miały ze swych baz tylko kilkanaście godzin drogi, aby zjawić się jak miecz zagłady nad bezbronnymi statkami konwoju.

W marynarzach ze statków konwoju RA 55A zaczynała się już budzić nadzieja, że może uda się przeskoczyć niespostrzeżenie, że może polarna noc i sztormowa pogoda osłoni ich przed okiem nieprzyjaciela. I z każdą godziną szansa ta zwiększała się.

Tymczasem ku tym samym obszarom zbliżał się z prędkością 8 węzłów konwój JW 55B, świadomy już tego, że został wykryty przez Niemców. Z okrętów eskorty zaobserwowano samolot wywiadowczy, który niewątpliwie przekazał meldunek do swego dowództwa.

Komandor J. A. McCoy na niszczycielu „Onslow” — dowódca eskorty konwoju złożonej z 10 niszczycieli i 3 mniejszych jednostek — zdawał sobie sprawę, że być może w tej chwili, w tym momencie nawet, ku statkom konwoju powierzonego jego opiece zdążają uzbrojone w torpedy okręty podwodne. Konwój jednak nie mógł zawrócić, nie miał żadnej możliwości wyboru. Musiał, uparcie zygzakując, posuwać się raz wytyczoną trasą z ustaloną uprzednio prędkością. Statki musiały pilnować swych miejsc w szeregach i kolumnach.

Komandor J. A. McCoy nie był jednak zupełnie bezbronny. Wiedział, że gdzieś tam na wzburzonym, okrytym ciemnościami morzu znajduje się zespół trzech krążowników: „Belfast”, „Norfolk” i „Sheffield” pod dowództwem wiceadmirala Roberta Burnetta. Zespół ten przed paroma dniami wyszedł z Murmańska i krążył w okolicach Wyspy Niedźwiedziej spełniając rolę ubezpieczenia, zarówno dla konwoju RA 55A jak i dla nadchodzącego JW 55B, na najbardziej krytycznym odcinku drogi.

Od Islandii zbliżał się ku wodom oblewającym północne krańce Norwegii, jeszcze jeden zespół okrętów. Sztormową falę rozbijał potężny, stalowy dziób angielskiego okrętu liniowego „Duke of York”. Za nim podążał krążownik „Jamaica” — weteran arktycznych bojów, a 4 niszczyciele: „Savage”, „Saumarez”, „Scorpion” i „Stord” przewalały się ciężko na burty nurkując nieomal w gnanych północnym wiatrem wodach oceanu. Zespół ten prowadził admirał Bruce Fraser, dowódca angielskiej Home Fleet. Miał on nadzieję, że tym razem wyjdzie z głębi fiordu Alta ostatni niemiecki okręt liniowy, który paraliżuje murmańskie konwoje, że tym razem dojdzie do decydującego spotkania.

Admirał Fraser czuł się trochę tak, jak myśliwy wychodzący na polowanie na grubego zwierza. Przynęta została wypuszczona — 19 statków konwoju JW 55B zostało zaobserwowanych przez Niemców, i pewnie teraz w eterze krzyżują się rozkazy, telefony przekazują ostatnie instrukcje.

O wyjściu w morze zespołu ciężkich okrętów angielskich



*Admirał Karl Dönitz — dowódca  
Kriegsmarine w 1943 roku*

nie wiedział na razie ani dowódca osłony konwoju RA 55A, ani komandor McCoy z konwoju JW 55B, ani nawet wiceadmirał Burnett — admirał Fraser bowiem utrzymywał bezwzględną ciszę radiową.

Tymczasem w kabinie dowódcy „Scharnhorsta” Bey i Hintze zbliżali się do końca butelki, gdy oficer szyfrowy przyniósł im depeszę.

— Z Kilonii, ze sztabu admirała Schniewinda — zameldował.

Konradmirał spojrzał na kartkę. Przeczytał uważnie. Podniósł się.

— No, Julius, rozkaz Dönitza. Ruszamy. Wydadaj odpowiedź polecenia. Wezwij komandora Johannessona. Jego niszczyciele są gotowe do wyjścia?

— Tak jest, panie admirale — Hintze wyprężył się przed Beyem.

— Wychodzimy o 19.00 — admirał sięgnął po czapkę ozdobioną podwójnym wieńcem złotych liści.

## NA PÓŁNOC

Świąteczna sjeść załogi „Scharnhorsta” i jednostek czwartej flotylli pod dowództwem komandora Johannessona, złożonej z niszczycieli: Z-29, Z-30, Z-33, Z-34 i Z-38, została przerwana przeraźliwymi dzwonekami ogłaszającymi zbiórkę.

Do zebranej załogi „Scharnhorsta” przemówił przez głośniki dowódca okrętu, komandor Hintze. Wyjaśnił w kilku słowach oczekujące ją zadanie.

— Masz, czego chciałeś — szepnął Gödde do stojącego obok Moritza — będziesz mógł się teraz nawojować do upojenia.

— A pewno — Moritz nie dostrzegł drwiny w głosie kolegi — już dość się napróżnowaliśmy. Najwyższy czas.

— No, no, żebyś nie żałował.

— Czekaj, tylko wrócimy, to pogadamy inaczej — szarpnął się Moritz.

— Dobrze, dobrze, nie strasz. Pokaż najpierw, co umiesz na morzu.

Okręt szykował się do akcji. Artylerzyści raz jeszcze sprawdzali mechanizmy dział i urządzeń podających ciężkie pociski, palacze w kotłowniach podnosili ciśnienie pary. Wszystkie pomieszczenia okrętu tętniły gorączkową pracą.

O godzinie 18.00 na burcie „Scharnhorsta” zjawił się ponownie kontradmirał Bey ze swym sztabem. Jego okrętem flagowym był „Tirpitz”, który teraz stał unieruchomiony i bezużyteczny mimo swych potężnych i nieuszkodzonych dział.

— Stary Ahmed Bey idzie z nami w morze — poszła wiadomość po pomieszczeniach „Scharnhorsta”. Takie żartobliwe przezwisko miał wśród marynarzy kontradmirał Erich Bey, który wiele lat spędził na pokładach niszczycieli i który był w tej chwili również dowódcą wszystkich niszczycieli niemieckiej marynarki.

O godzinie 19.00 dnia 25 grudnia 1943 roku „Scharnhorst” i towarzyszące mu okręty podniosły kotwice i zespół

*Kontradmirał Erich Bey w czasie przeglądu*



ruszył wolno wąskim gardłem fiordu Alta na północ ku otwartemu morzu, na którym szalał w tej chwili silny polarny sztorm.

O godzinie 22.00 okręty minęły wybrzeże wyspy Stjernöy. W burty jednostek zaczęła uderzać boczna fala gnana silnym, południowo-zachodnim wiatrem. „Scharnhorst” szedł jeszcze spokojnie, niszczyciele jednak zaczynały już kłaść się na burty w głębokich przechyłach.

— Hintze, spójrz na naszą eskortę — kontradmirał Bey stał obok komandora na górnym pomoście. — Już się kładą. Co to będzie dalej?

— Dadzą sobie radę, nie w takiej pogodzie pływali.

— Wiem — roześmiał się Bey. — Daruj mi, Julius, to moja słabostka. Zawsze martwię się o tych chłopaków z niszczycieli. Stare przyzwyczajenie. Myślę trochę innymi kategoriami niż wy, wychowani na tych gigantach.

W godzinę później po prawej burcie została wyspa Söröy i zespół kontradmirała wypłynął na otwarte morze, smagane sztormowym wichrem. Lodowata zadymka ograniczała widoczność niemal do zera. Co prawda zarówno „Scharnhorst” jak i niszczyciele posiadały urządzenia radiolokacyjne, jednakże w tych ciężkich warunkach atmosferycznych otrzymywane echo było mało wyraźne i niejednoznaczne.

Krótko po północy kontradmirał Bey rozkazał okrętom swego zespołu położyć się na nowy kurs, prowadzący prawie dokładnie na północ.

— Ostatni raport, jaki otrzymało nasze dowództwo, o położeniu konwoju idącego do Murmańska — wyjaśniał komandorowi Hintzemu pochylonemu nad mapą w kabinie nawigacyjnej „Scharnhorsta” — pochodził z godziny 9.00 dnia 25 grudnia. Dowódca U-601 meldował, że zaobserwował statki konwoju na pozycji 73°30' N i 12°30' E. A więc piętnaście godzin temu byli w tym punkcie — dotknął grubym palcem czarnego krzyża na mapie. — Przybliżony kurs konwoju jest taki — przyłożył linijkę do mapy, pociągnął kreskę prowadzącą w pobliże Wyspy Niedźwiedziej. — Prędkość konwoju osiem węzłów według raportu U-601. Sztorm im nie prze-

szkadza tak bardzo, bo dmucha z rufy, więc można liczyć, że te osiem węzłów kręca.

Wziął cyrkiel do ręki, odmierzył starannie na podziałce 8 mil morskich. Przejechał nóżkami cyrkla po mapie wzdłuż czarnej kreski kursu konwoju.

— W tej chwili powinni być w tym punkcie — znowu nakreślił krzyżyk na mapie i wpisał ołówkiem godzinę i datę. — A więc jeżeli nie zmienią swego kursu ani prędkości, a my będziemy szli dotychczasowym kursem, to powinniśmy spotkać konwój jutro rano około 10.00.

— To już dziś, nie jutro, Erich — wtrącił komandor.

— Rzeczywiście, dziś — Bey spojrzał na zegarek. — Zaczęliśmy drugie święto. — Prześpię się trochę — zdecydował — nie wiadomo, jaki dzień przed nami. Meldować natychmiast, gdyby zaszło coś nadzwyczajnego. Gdybyśmy spotkali kogoś... depesza z dowództwa... Ty też się zdrzemnij.

— Rozkaz, admirale — uśmiechnął się Hintze.

## PIERWSZE SPOTKANIE

Gdyby ktoś o godzinie 4.00 dnia 25 grudnia 1943 roku wetknął nóżkę gigantycznego cyrkla w punkt oznaczony na mapach pozycją  $73^{\circ}30' N$  i  $19^{\circ} E$  i zatoczył koło o promieniu około 200 mil morskich, wewnątrz okręgu znalazłby się olbrzymi szmat miotanego sztormem, pogrążonego w mro-  
kach polarnej nocy Morza Barentsa.

W centralnym punkcie tego okręgu, 50 mil na południe od Wyspy Niedźwiedziej, znajdował się o tej porze konwój JW 55B, płynący w dalszym ciągu kursem *NW*. W odległości 180 mil na południowy wschód od konwoju posuwał się kursem północnym zespół kontradmirała Beya. Na wschód od konwoju (150 mil) sztormowały pod wiatr i falę krążowniki wiceadmirała Burnetta, weterana arktycznych patroli.

W odległości 210 mil od konwoju, w pozycji  $71^{\circ} N$  i  $12^{\circ} E$ , śpieszyły okręty admirała Frasera idące z prędkością 24 wę-  
złów. Dowódca Home Fleet miał nadzieję znaleźć się w od-



*Admiral Bruce Fraser*

powiednim czasie na drodze między zespołem niemieckim i Przylądkiem Północnym.

Admirał Fraser — po otrzymaniu w dniu 23 grudnia wiadomości od komandora McCoya, że konwój JW 55B został wykryty i zaatakowany przez lotnictwo niemieckie — wyszedł natychmiast w morze i przejął w swoje ręce kierownictwo operacji, która miała dwojaki cel. Przede wszystkim należało zapewnić bezpieczne przejście konwojowi, po drugie zaś nadarzała się okazja przyłapania na morzu „Scharnhorsta” w wypadku, gdyby kierownictwo

niemieckiej marynarki wojennej zdecydowało się wysłać ten okręt przeciwko wykrytemu konwojowi. Planując dalekośięzną operację admirał Fraser musiał mieć wiele danych. Im więcej wiadomych, im więcej kart w ręku, tym łatwiej można rozegrać decydującą partię.

W akcjach konwojowych i eskortowych w brytyjskiej marynarce obowiązywał zakaz używania radia, żeby nie zdradzić swojej pozycji nieprzyjacielskim stacjom radiopelengowym. Tym razem jednak admirał Fraser uznał za stosowne przerwać ciszę radiową i wysłał po południu 24 grudnia zapytania do obu konwojów JW 55B oraz RA 55A o ich aktualne pozycje.

Na mapie admirała pojawiły się dwa krzyżyki, do kart przybyły dwa atuty.

Rankiem 25 grudnia, kiedy konwój RA 55A minął już najbardziej niebezpieczną strefę, admirał Fraser ponownie zdecydował się przerwać ciszę radiową. Do dowódcy eskorty konwoju RA 55A popłynął rozkaz odesłania czterech niszczycieli dla wsparcia eskorty konwoju JW 55B.

Cztery wyznaczone okręty zatoczyły ostry łuk, błysnęły aldisem słowa pożegnania i pomknęły na dużej prędkości do idącego na wschód konwoju. Dla załóg odesłanych niszczycieli, wymęczonych panującym już od wielu dni sztormem, oznaczało to dalsze pełne napięcia wachty, dalsze dni i noce bez odpoczynku, bez wytchnienia.

W ciągu nocy z 25 na 26 grudnia okręty admirała Frasera podążały w dalszym ciągu na wschód z prędkością 17 węzłów. W swojej kabinie na pokładzie okrętu liniowego „Duke of York” admirał układał plan rozpoczynającej się operacji.

Jeżeli „Scharnhorst” wyjdzie z fiordu Alta dziś w nocy — rozważał admirał — to powinien znaleźć się jutro w południe koło Wyspy Niedźwiedziej, bo wie, że tam może spotkać konwój JW 55B. Gdyby nawet odnalazł i zaatakował konwój, to należy akcję tak poprowadzić, aby śledzić korsarza bez przerwy, a wtedy mi nie umknie. Żeby tylko wiedzieć, czy wyszedł.

O godzinie 3.30 rano 26 grudnia na pokładzie „Duke of York,” odebrano depezę z admiralicji, że „Scharnhorst” najprawdopodobniej wyszedł w morze z fiordu Alta.

— Zwiększyć prędkość zespołu do 24 węzłów — rozkazał natychmiast Fraser.

— Zwierz ruszył z legowiska. Rozpoczynamy wielkie łowy — zwrócił się do komandora Russella, dowódcy „Duke of York”. — Proszę kazać wydać załodze czystą bieliznę i na śniadanie porcję rumu — admirał dbał o tradycje panujące w Royal Navy, które nakazywały ubierać się odświętnie przed bitwą.

O godzinie 4.01 dowódca Home Fleet ponownie przerwał ciszę radiową. Podał szyfrem komandorowi McCoy i wiceadmirałowi Burnettowi swoją pozycję i kurs i rozkazał meldować o pozycji konwoju i zespołu krążowników.

Teraz Fraser miał już prawie wszystkie karty w swoim ręku. Jediną niewiadomą pozostawało jeszcze położenie okrętów nieprzyjaciela, który tymczasem parł na północ, nieświadom, że do miejsca gdzie on zdąża zbliżają się z dwóch

stron dwa silne zespoły angielskie, jak dwie szczęki obcęgów mających się zacisnąć na okrętach jego zespołu.

Admirał Fraser przechadzał się miarowym krokiem po pomoście bojowym okrętu flagowego. Mimo panującej jeszcze nocy i dużej odległości od nieprzyjaciela nie kładł się na odpoczynek. Steward przynosił mu jedynie na pomost jedną po drugiej szklankę parującej, gorącej kawy.

— W takiej chwili spać, nonsens — wzruszył tylko ramionami na propozycję komandora Russella. — Teraz, kiedy, być może, zbliża się szczytowy punkt mojej morskiej kariery, szczytowy punkt mego życia. Przecież na taką okazję czekałem tyle czasu...

O godzinie 6.28 admirał Fraser kazał wysłać do konwoju JW 55B rozkaz zmiany kursu na bardziej północny, a do wiceadmirala Burnetta — zajęcia stanowiska na przypuszczalnej drodze „Scharnhorsta”, na południowy wschód od konwoju.

\*  
\*  
\*

Parę minut po godzinie 7.00 kontradmirał Erich Bey pojawił się na pomoście bojowym „Scharnhorsta”.

— Kurs 012 stopni, prędkość 25 węzłów, pozycja 40 mil na południowy wschód od Wyspy Niedźwiedziej, panie admirale — zameldował komandor podporucznik Edgar Lanz, oficer nawigacyjny okrętu liniowego.

— A konwój?

— Nie widać nic, panie admirale.

— To niedobrze. Jesteśmy chyba za daleko na północ — zdecydował Bey.

— Wobec tego zmienimy kurs na 225 stopni. Nadać sygnał do niszczycieli. Niech idą tym samym kursem w odległości pięciu mil jeden od drugiego, dziesięć mil przed nami. Prędkość od chwili rozpoczęcia poszukiwań 10 węzłów.

— Tak jest, panie admirale.

Kontradmiral Bey przystępował do gry z admirałem Frase-rem, lecz nie miał, w przeciwieństwie do tamtego, żadnych



*Dalmierz optyczno-elektryczny i antena radiolokacyjna na jednym z niemieckich okrętów*

atutów w rękę. Nie znał nawet w tej chwili dokładnego położenia konwoju JW 55B, który był oddalony od „Scharnhorsta” zaledwie o 30 mil w kierunku prawie dokładnie zachodnim. Radiolokacyjne urządzenia niemieckie okazały się słabe, o małym zasięgu i zawodne w czasie sztormowej pogody, kiedy wysokie fale i padający śnieg zaciemniały odbierany obraz. Na dodatek kontradmirał Bey nie znał sił swoich przeciwników. Nie wiedział nic o zespole wiceadmirała Burnetta zdążającym z prędkością 18 węzłów ani o zespole admirała Frasera.

Koło, w którym znajdowali się bohaterowie mającej się rozegrać akcji, kurczyło się i zacieśniało coraz bardziej, stalowe kolosy z każdą minutą zbliżały się coraz bardziej do siebie.

O godzinie 8.15 wiceadmirał Burnett zmienił kurs na 315° i zwiększył prędkość do 24 węzłów, chcąc podejść do wciąż płynącego kursem 045° konwoju.



Gdzie jest „Scharnhorst”? — wiceadmirał wiedział, że hitlerowski okręt liniowy wyszedł ze swego legowiska, odebrał bowiem również depezę z admiralicji.

Antena radarowa flagowego „Belfasta” omiatała ciemny horyzont. Radarzyści pilnie śledzili ekrany z przesuwającym się zielonym, fosforyzującym promieniem.

Za kilkanaście minut powinny pojawić się statki konwoju — myślał Burnett patrząc na zegarek. Dochodziła godzina 8.30.

Znowu minęło parę minut. Krążownik „Belfast”, ciężko pracując na sztormowej fali, szedł w kierunku przedzierającego się na północ konwoju.

— Wyraźne echo. Kierunek 285 stopni. Odległość 17,5 mili — zameldował nagle radarzystą.

Wiceadmirał dopadł ekranu. Na ciemnym, jednostajnym tle zielony promień zostawiał po swym przebiegu wyraźny, podłużny ślad.

— Tylko jeden? — zdziwił się Burnett.

— Jeden, sir — zameldował radarzysta. — Samotny.

— Czyżby to był „Scharnhorst”? — zastanawiał się Burnett. — Sam, w pojedynkę, bez eskorty?

Wykryty na ekranie okręt nieprzyjacielski — mógł to być tylko „Scharnhorst”, w tym obszarze bowiem nie znajdowały się żadne inne jednostki angielskie — szedł tymczasem kursem prosto na południe.

— Prędkość 10 węzłów — meldował radarzysta.

— Dlaczego tak wolno? — zastanawiał się Burnett.

— Chyba szuka konwoju — odpowiedział komandor Parham, dowódca flagowego krążownika.

— A eskorta? Przecież sam nie wyszedł w morze? — wahał się w dalszym ciągu Burnett.

— Może są gdzieś poza naszym zasięgiem. Też szukają konwoju.

Dystans między dwoma okrętami zmniejszał się szybko. Na okrętach angielskich cała uwaga skupiła się teraz na fosforyzujących ekranach.

Wspaniały wynalazek — stwierdził w myślach, po raz

nie wiadomo, który, komandor Parham — wokoło noc polarna, wiatr, zadymka, a tu na ekranie obcy okręt jak na dłoni.

— Obserwowany obiekt zmienił kurs na 080 stopni — meldował operator radarowy. — Prędkość w dalszym ciągu 10 węzłów.

— Zbliża się — wiceadmirał Burnett pochylił się nad ekranem. — Czyżby nas zauważyli na swoim ekranie?

— Nie wygląda na to. 10 węzłów to nie jest prędkość okrętu idącego do boju.

— Oczywiście. A więc ich radar nie działa — skonstatował Burnett.

— Odległość 10 mil — meldował radarzysta.

— Otworzyć ogień? — zapytał komandor Parham. Wszystkie wieże artyleryjskie na angielskich okrętach zwrócone były lufami w stronę nierozpoznanego okrętu, działa załadowane, ludzie na stanowiskach. Wystarczyło tylko wydać rozkaz, a z uniesionych nad wzburzonym morzem luf pomkną ku zbliżającemu się wciąż obcemu okrętowi ciężkie pociski całej burtowej salwy.

\* \* \*

Tymczasem na pomoście bojowym „Scharnhorsta” krążyli kontradmirał Bey i komandor Hintze. Według raportów i meldunków nadesłanych przez dowództwo Kriegsmarine statki konwoju powinny znajdować się właśnie w tym miejscu, które obecnie przeczesywał „Scharnhorst” swym stalowym kadłubem. W odległości 10 mil przed dziobem prowadził poszukiwania rozrzucony w wachlarz zespół niszczycieli. Wszystko jednak na nic. Na ekranach urządzeń radiolokacyjnych tylko mętne odbicie sztormowych fal i padającego śniegu. Konwój angielski zapadł się dosłownie pod wodę.

— Zmienić kurs na 080 stopni — rozkazał Bey.

— A niszczyciele? — zapytał Hintze.

— Niszczyciele niech idą dalej swoim kursem. Później dołączymy do nich.

Okręt liniowy położył się na burtę do ostrego zwrotu.

Przez moment znajdował się bokiem do fali, która wdarła się na pokład, rozbiła o dwie dziobowe wieże działowe, by w pienistych kaskadach spłynąć do morza po drugiej burcie.

Zadźwięczały dzwonki telegrafów maszynowych. Komandor Hintze wspomagał mocą potężnych turbin wykonanie zwrotu na sztormowej fali.

— Stacja dziobowego radiolokatora do dowódcy. Radiolokator dziobowy do dowódcy — zaskrzeczał głośnik na pomoście bojowym.

— Tu pomost. Meldować — kontradmirał Bey przerwał swój nerwowy spacer.

— Słabe, niewyraźne echo trzech jednostek. Kierunek 045 stopni. Odległość około 6 mil.

— Prędkość i kurs — rzucił Bey do mikrofonu.

— Nierozpoznane. Na razie nierozpoznane. Echo zanikające.

— Obserwować w dalszym ciągu i natychmiast meldować.

— Konwój? — komandor podporucznik Lanz nanosił już obserwowane sylwetki na mapę. Zapisał godzinę namiaru: 9.20.

— Ogłosić alarm bojowy — rozkazał Bey.

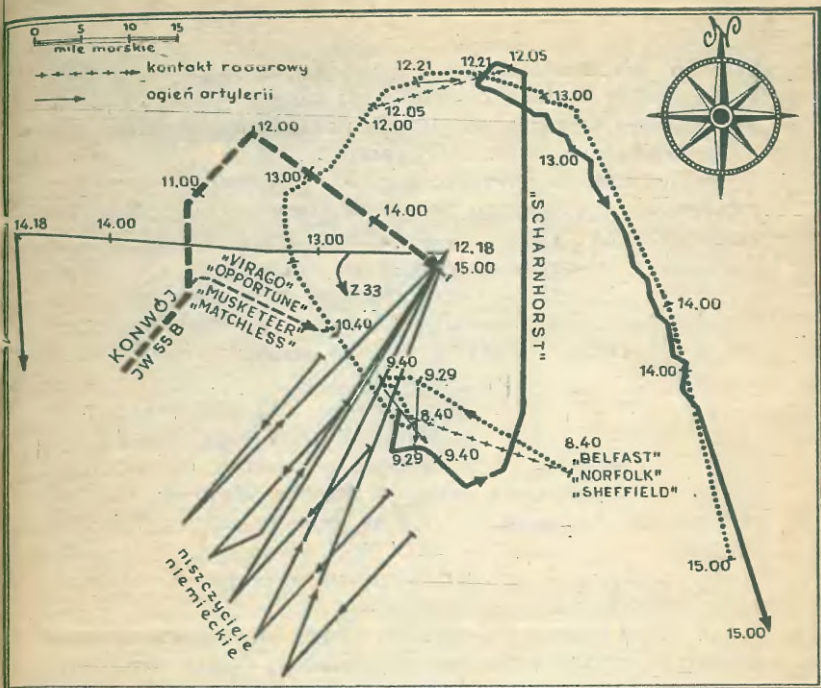
\*   \*   \*

W tym samym momencie starszy marynarz Hoggins, lewoburtowy obserwator na pomoście krążownika „Sheffield”, dojrzał, w luce utworzonej w skłębionych chmurach przez nagły poryw wiatru, wyraźną sylwetkę okrętu bojowego.

Smukły dziób rozbijający sztormowe fale, dwie wieże działowe przed pomostem, jedna na rufie, wysoko wyniesiona w górę nadbudówka na śródokręciu, charakterystyczny komin.

Starszy marynarz Hoggins poznał natychmiast. Nie było żadnych wątpliwości. To „Scharnhorst”.

— Nieprzyjacielski okręt liniowy w zasięgu widoczności — zameldował na pomost. — Odległość około 6 mil.



### *Pierwsza faza bitwy*

W tym momencie idąca nad morzem ściana gwałtownego szkwału przesłoniła znowu widoczność.

— Nieprzyjaciół w zasięgu widoczności — zasygnalizował dowódca krążownika „Sheffield”, komandor Addis, do wiceadmirała Burnetta.

— Wystrzelić pociski oświetlające — rozkazał wiceadmirał.

Chwilę później, o godzinie 9.24, jak zapisał w dzienniku bojowym „Belfasta” oficer wachtowy, rozległ się huk pierwszych strzałów oddanych w rozpoczynającym się spotkaniu. Wysoko w górę wytrysnęły jaskrawe, oślepiająco ogniste

kule. W ich przeraźliwym świetle wyraźnie widoczne były szare, groźne kształty niemieckiego okrętu liniowego, przedzierającego się przez wzburzone wody Morza Barentsa.

— Ognia! — rozkazał Burnett.

Na nieszczęście, jednostki angielskiego zespołu były w tym momencie tak ustawione, że ostatni idący w szyku „Norfolk” zasłaniał swoim kadłubem napastnika przed ogniem dwóch pierwszych w szyku krążowników angielskich: „Belfasta” i „Sheffielda”. Jedynie więc „Norfolk” mógł otworzyć ogień natychmiast po otrzymaniu rozkazu. Na całe szczęście posiadał on najcięższe działa w zespole wiceadmirala Burnetta i znajdował się najbliżej „Scharnhorsta”.

Z wszystkich ośmiu dział kalibru 203 mm krążownika „Norfolk” trysnęły jaskrawopomarańczowe słupy ognia i pomknęły w kierunku „Scharnhorsta”, wyraźnie widocznego w świetle opadających wolno w dół flar. Wysokie, białe od piany słupy wodne przesłoniły na moment ciemną sylwetkę korsarza.

— Za krótka — stwierdził komandor podporucznik Walham, dowódca artylerii krążownika.

Lufy dział uniosły się nieco ku górze. Znowu głuchy odgłos eksplozji targnął kadłubem krążownika. Ciężki dym prochowy przesłonił na moment widoczność, w oddali jednak zabłysły pomarańczowe błyski, rozświetlając ciemną sylwetkę wroga.

— W celu! — ucieszył się Walham. — Już drugą salwą przykrycie.

Znowu lufy „Norfolka” bluznęły ogniem i stałą. I znowu jaskrawe błyski potwierdziły kolejne trafienia.

— Nieprzyjaciół zwiększył prędkość i zmienia kurs na 150 stopni — meldowali radarzyści na okrętach angielskich.

Fosforyzująca sylwetka na ekranach radarowych zaczęła przesuwając się ku prawej krawędzi.

— Zmienić kurs na 270 stopni — rozkazał wiceadmiral Burnett. Chciał jak najszybciej zająć pozycję między konwojem a wykrytym napastnikiem. Pamiętał bez przerwy o głów-

nym swoim zadaniu, które polegało na zabezpieczeniu przejścia statkom konwoju JW 55B do portu przeznaczenia. Polowanie na „Scharnhorsta”, prowadzone przez admirała Frasera i zespół Burnetta, schodziło na plan dalszy.

\* \* \*

Jaskrawy blask pocisków oświetlających oślepił obserwatorów na „Scharnhorście”, oślepił komandora Hintzego i kontradmirała Beya. W pierwszym momencie Bey był przekonany, że to wkraczają do akcji niszczyciele osłony konwoju, gdy jednakże obok burty wykwitły wysokie gejzery wodne, poznał, że ma do czynienia z o wiele silniejszym, niż początkowo przypuszczał, przeciwnikiem.

— Chyba pociski ośmiocalowe — zwrócił się do komandora. Przypomnił sobie szczegółową instrukcję, otrzymaną przed wyruszeniem z portu, w której dowództwo Kriegsmarine zabroniło mu angażowania się w pojedynki z cięższymi niż niszczyciele okrętami angielskimi.

„Głównym celem wypadu jest odnalezienie i zniszczenie konwoju idącego do Murmańska” — głosił rozkaz operacyjny, a fakt ukazania się w tej okolicy angielskich jednostek świadczył niezbicie, że w pobliżu znajdują się statki konwoju.

— Wszystkie turbiny całą mocą naprzód — rozkazał Bey — kurs 150 stopni.

W głębi okrętu, w maszynowniach schowanych na dnie statku, pod grubą osłoną pancerza zadźwięczały przenikliwe dzwonki telegrafów maszynowych. Palacze błyskawicznie wymieniali palniki, mechanicy odkręcali zawory manewrowe. Monotonny, powolny, jednostajny szum pracujących turbin zmienił swoją tonację. Stawał się coraz bardziej wysoki, coraz bardziej przenikliwy. Wyraźnie było czuć, że pod kadłubami turbin grubo otulonych izolacją narasta gwałtownie moc.

Za rufą okrętu skłębiła się woda od coraz szybszych obrotów śrub. „Scharnhorst” rozpędzał się, rozbijał dziobem przewalające się masy wodne, przechylał się ciężko z burty

na burtę. Szedł teraz bokiem do fali. Czerwona strzałka repetytora logu pięła się powoli ku górze. Dwanaście węzłów, piętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia pięć... Okręt drżał od wysiłku, tysiące ton stali, olbrzymie pancerne wieże, setki potężnych pocisków zmagazynowanych pod pokładem, cała olbrzymia, skomplikowana machina ciężkiego okrętu wojennego mknęła coraz szybciej, oddalała się od wciąż niewidocznego w śnieżnej zadymce przeciwnika, wysyłającego salwę za salwą.

Pociski były jednak szybsze od uciekającego okrętu. Już druga salwa siedziała w celu. „Scharnhorst” cały zadrżał od gwałtownego pchnięcia. Nagle szarpnięcie zważyło z nóg marynarzy, pełniących służbę na pomoście bojowym.

Trafienie — zarejestrował w myśli komandor porucznik Lanz.

Trafienie — pomyśleli równocześnie kontradmirał i komandor Hintze.

Ciężki pocisk angielskiego krążownika uderzył w podstawę przedniego masztu.

— Przednia antena radiolokacyjna zniszczona. Obraz znikł całkowicie z ekranu — zameldowano na pomost bojowy.

W tym samym momencie inny ciężki pocisk trafił w dziobową część pokładu „Scharnhorsta” — przebił go i rozerwał się w pomieszczeniu mieszkalnym załogi, pustym w tej chwili, gdyż wszyscy znajdowali się na swych stanowiskach bojowych. Drużyna awaryjna pod dowództwem kapitana Schwarzkopfa szybko i sprawnie ugasila pożar.

Odległość między „Scharnhorstem” a strzelającym wciąż „Norfolkem” coraz bardziej się zwiększała i o godzinie 9.40 wiceadmirał Burnett rozkazał przerwać ogień.

Pierwsza faza walki była skończona. Pierwszą rundę zdecydowanie wygrali Anglicy.

## POSZUKIWANIA

Natychmiast po przerwaniu ognia krążowniki wiceadmirała Burnetta skręciła na wschód i jak psy gończe podążyły za uchodzącym przeciwnikiem.

— Utrzymać się za nieprzyjacielem w zasięgu kontaktu radarowego — rozkazał Burnett.

Rozkaz taki łatwiej było wydać niż wykonać. W ciężkich warunkach sztormowych krążowniki angielskie nie mogły osiągnąć takiej prędkości jak potężny „Scharnhorst”.

Prędkość niemieckiego okrętu jest większa od naszej, maksymalnej w obecnych warunkach, o pięć węzłów — stwierdził Burnett na podstawie meldunków radarowych. — Jeszcze trochę, a zniknie nam z ekranów.

— Nieprzyjaciół zmienia kurs na 045 stopni — zameldował radarzysta o godzinie 9.50.

Burnett spojrział na mapę. Sytuacja zaczęła się wyjaśniać. Jeszcze przed chwilą wiceadmirał sądził, że Niemcy odstąpili od zamiaru atakowania konwoju i że odchodzą do swej bazy w północnej Norwegii. Teraz jednak było prawie oczywiste, że „Scharnhorst” zamierza obejść na dużej prędkości zagradzające mu drogę krążowniki angielskie i najprawdopodobniej zaatakować konwój od strony północnej.

W dziesięć minut później na ekranach angielskich radarów zaobserwowano nową zmianę kursu „Scharnhorsta” — jeszcze bardziej na północ.

Przed wiceadmirałem Burnettem stanął problem do rozstrzygnięcia: co robić, jakie rozkazy wydać teraz swojemu zespołowi? Czy śledzić w dalszym ciągu umykającego nieprzyjaciela, czy zawrócić w stronę konwoju JW 55B i spróbować zagrozić drogę ewentualnemu atakowi od północy? Jak postąpi dowódca niemieckiego zespołu? Jakie wyda rozkazy?

A jeżeli „Scharnhorst” wykonuje jedynie unik? — zastanawiał się Burnett. Jeżeli przez zmianę kursu na północny chce tylko zmylić pogoń, by po oderwaniu się od przeciwnika zawrócić znowu na południe do baz norweskich?



*Na pomoście bojowym „Sheffielda”*

W takim wypadku gruby zwierz wymknie się z zastawionej pułapki.

— Jesteśmy tu po to, by osłaniać konwój — raz jeszcze powtórzył głośno Burnett do komandora Parhama, jakby chcąc się umocnić w swym postanowieniu. Decyzję bowiem już podjął.

— **Z**wrot w kierunku konwoju. Kurs 290 stopni. Obserwować nieprzyjaciela jak długo jest to możliwe.

Trzy krążowniki położyły się w ostrym zwrocie pod falę, by po chwili oddalać się coraz bardziej od niemieckiego okrętu, który parł całą prędkością na północ.

Sam idzie. Bez żadnej eskorty — dziwił się Burnett.

\* \* \*

Konradmirał Bey tymczasem rzeczywiście zdecydował się obejść szerokim łukiem okręty angielskiej osłony, licząc na to, że zdoła je pociągnąć za sobą. Ze zniszczonym jednym urządzeniem radiolokacyjnym i słabo działającym drugim, zdany był właściwie jedynie na obserwacje optyczne i na własną intuicję. Pierwsze były zawodne w warunkach po-

larnej nocy, druga natomiast nie miała dostatecznych danych wyjściowych — kontradmirał Bey bowiem nawet nie wiedział, kto jest jego przeciwnikiem ani nie znał dokładnego położenia konwoju. Nie domyślał się również — co było decydujące w obecnej jego sytuacji — że od południowego zachodu zbliża się zespół admirała Fräsera, dążący do odciążenia mu drogi powrotnej do spokojnej bazy w fiordzie Alta.

O godzinie 10.27 Bey wysłał rozkaz do niszczycieli, nakazujący im koncentrację w punkcie X ( $74^{\circ}$  N i  $23^{\circ}$  E) o godzinie 12.00. Podał jednocześnie fakt ostrzelania przez angielskie krążowniki oraz swoją obecną pozycję.

— Nanieść pozycję „Scharnhorsta” na mapę — rozkazał komandor Johannesson na niszczycielu Z-30. — Podają kwadrat AC 4133.

— Kwadrat AC 4133? — ze zdziwieniem zapytał oficer nawigacyjny zespołu, kapitan Weinecke. — Przecież to w odległości 50 mil od nas, a nie, jak było uprzednio podane, w odległości 10 mil.

— Odebrałem AC 4133, panie komandorze — zameldował telegrafista.

Ciekawe. Co się mogło stać, że Ahmed Bey zmienił aż tak bardzo swoją pozycję — pomyślał Johannesson.

Dopiero po zakończeniu akcji przeprowadzone drobiazgowe śledztwo wykazało, że radiotelegrafista „Scharnhorsta” źle odczytał, napisaną w pośpiechu przez kontradmirała, kartkę z pozycją. Miało być AC 4199, a w eter poszło AC 4133. O tym jednak na razie nikt nie wiedział, ani Bey na pomoście „Scharnhorsta”, ani Johannesson na pokładzie niszczyciela.

Pięć ciężko pracujących pod wiatr i falę okrętów zawróciło z bezskutecznego, jak dotychczas, przeczesywania morza i podążyło do nowego punktu koncentracji, gdzie spodziewano się zastać okręt liniowy.

\* \* \*

W chwilę po odebraniu od Burnetta meldunku o otwarciu ognia admirał Fraser rozkazał konwojowi JW 55B zmienić



*Wiceadmiral  
Robert Burnett*

kurs na dokładnie północny. Jednocześnie cztery niszczyciele eskorty: „Musketeer”, „Opportune”, „Virago” i „Matchless” pod dowództwem komandora porucznika Fishera miały opuścić konwój i dołączyć do krążowników wiceadmirala Burnetta. Cztery okręty wymieniły sygnały z niszczycielem komandora McCoya — „Onslowem” i pomknęły, z maksymalną prędkością, na jaką mogły się zdobyć przy tej pogodzie, ku krążownikom wiceadmirala Burnetta.

O godzinie 10.30 sylwetka „Scharnhorsta” znikła z ekranów angielskich radarów i Burnett nadał do admirała Frasera sygnał o straceniu kontaktu radarowego z wrogiem. Równocześnie na ekranach ukazały się cztery ślady, szybko mknących przez wzburzone wody Morza Barentsa, niszczycieli Fishera. W dziesięć minut później „Musketeer”, „Opportune”, „Virago” i „Matchless” utworzyły przed krążownikiem osłonę przeciwpodwodną, a o godzinie 11.00 na radarach okrętów zespołu Burnetta ukazały się sylwetki statków konwoju JW 55B. Zmieniły one ponownie kurs na 045 stopni, wobec czego Burnett rozkazał również skrócić na północny wschód i w południe 26 grudnia znalazł się w odległości około 10 mil na wschód od konwoju. Na ekranie flagowego okrętu wiceadmirala Burnetta widniały pozostawione z tyłu sylwetki statków konwoju. Wyraźnie widać było idące w równych szeregach powolne statki handlowe. Nie brakowało żadnego, szły wszystkie, wyladowane po brzegi materiałem wojennym, dostawami dla walczącej zwycięsko Armii Radzieckiej. Wokół uwijały się szybkie okręty eskorty — niszczyciele i trałowce komandora McCoya.

W pobliżu środka ekranu widać było dwie większe sylwetki i cztery mniejsze. To „Sheffield” i „Norfolk” oraz niszczyciele komandora Fishera.

Oczy radarzystów wypatrują jednak jeszcze jednego śladu. Tego najważniejszego w tej chwili, największego.

Gdzie podział się „Scharnhorst”? Gdzie jest w tej chwili? Skąd i czy nadejdzie? Kiedy wynurzy się z szarych, pogłębionych śniegiem i chmurami, ciemności polarnego brzasku?

\* \* \*

Obserwator niemieckiego samolotu rekonesansowego, wyposażonego w urządzenia radiolokacyjne, dostrzegł na swym ekranie o godzinie 10.12 kilka niewyraźnych sylwetek.

— Pięć lub sześć jednostek w pozycji około 100 mil na północny zachód od Przylądka Północnego. Prawdopodobna obecność ciężkich okrętów — meldował pilot niemiecki do dowództwa swojej grupy na jednym z zawianych śniegiem lotnisk wojskowych w północnej Norwegii.

— Przekazać meldunek do sztabu marynarki rejonu Północy — rozkazał dowódca grupy. — Tylko skreślić słowa: prawdopodobna obecność ciężkich okrętów. Nasze meldunki muszą być pewne, a nie „prawdopodobne”.

— Rozkaz, panie pułkowniku!

Parę minut po godzinie 11.00 okrojony meldunek rozpoznania lotniczego dotarł do kontradmirała Beya.

— Pięć jednostek na północny zachód od Przylądka — kontradmirał obserwował wraz z komandorami Hintzem i Lanzem mapę Morza Barentsa. — To mogą być albo jakieś nierozpoznane jednostki angielskie, albo...

— Albo nasze niszczyciele — odpowiedział Lanz.

— Właśnie — przytaknął Bey. — To samo chciałem powiedzieć.

— Trochę za daleko na południe — wtrącił Hintze.

— Przy tej pogodzie i takim wietrze pilot mógł pomylić się w określaniu pozycji — kontradmirał zawsze trochę sceptycznie był nastawiony do nawigacyjnych umiejętności pilotów Luftwaffe i do tego operujących nad morzem. Uważał, że jedynymi prawdziwymi specjalistami-nawigatorami są marynarze, i to w dodatku z niszczycieli.

— A więc przyjmujemy, że ten pilot z Luftwaffe zauważył nasze niszczyciele? — zapytał Hintze.

— Nawet gdyby nie, nawet gdyby to były angielskie okręty — to i tak są dość daleko od nas. A tu, przed nosem, prosto pod lufami naszych dział, konwój do Murmańska. Kontynuować kurs północny do godziny 12.00 — zdecydował Bey. Na jego decyzji zaważyła, w dużej mierze, perspektywa tłumaczenia się przed Dönitzem w wypadku odstąpienia od akcji mającej na celu zniszczenie statków murmańskiego konwoju.

\* \* \*

Admirał Fraser otrzymał o godzinie 10.44 sygnał od wiceadmirala Burnetta o straceniu kontaktu z niemieckim okrętem liniowym.

Co teraz? — zastanawiał się na pomoście bojowym swego flagowego okrętu. Jeżeli nie ma szans na przychwycenie „Scharnhorsta”, jeżeli wycofał się on już z akcji, to nie ma najmniejszego sensu kontynuowanie obecnego kursu. Zapasy paliwa na okrętach zespołu zaczynają się wyczerpywać i jeszcze parę godzin, a nie będzie można wrócić do bazy na Islandii. W takim wypadku trzeba przededefilować w zasięgu niemieckiego lotnictwa z północnonorweskich lotnisk, aby dojść do portów radzieckich na półwyspie Kola. Decyzję należy podjąć w najbliższych godzinach, bo potem będzie za późno, bo potem nie będzie wyboru.

Do wiceadmirala popłynął przez eter kolejny sygnał:

„Jeżeli którakolwiek jednostka nie odnajdzie w najbliższym czasie wroga, nie ma szans na uchwycenie go przez mój zespół.”

Skąd ja mam wytrzasnąć „Scharnhorsta”? — denerwował się Burnett na pokładzie „Belfasta”. Nie wychodził już teraz z kabiny radarowej, swoją obecnością chcąc jakby przyspieszyć upragniony moment. Mijały jednak minuty, a na ekranach radarowych sytuacja się nie zmieniała.

— Konwój zmienia kurs — zameldował punktualnie o 12.00 obserwator.

Wiceadmiral Burnett obserwował, jak złamały się karne szeregi i rzędy. Parę minut pozornego zamieszania i począł się wylaniać nowy szyk. Okręty eskorty pomknęły szerokimi łukami, by chronić w dalszym ciągu powolne statki handlowe. Konwój szedł teraz na południowy wschód.

Nagle w prawym górnym rogu świetlistego ekranu wirujący promień wyluskał jaśniejszą plamkę. Operator i stojący za nim wiceadmiral wstrzymali oddech.

Czy pojawi się za następnym obrotem promienia? Czy zjawi się znów tam, gdzie mignęło zielonkawe światło fosforyzującego echa?

Jest. Znowu. Już teraz bliżej, już wyraźniejsze.

Jeszcze raz. I znowu widoczny jasny ślad.

Nie ma wątpliwości. To nieprzyjaciel.

— Odległość 15,5 mili. Kierunek 075 stopni — odczytał operator. — Kurs nieprzyjaciela 315 stopni.

— Nadać natychmiast do admirała Fräsera — rozkazał Burnett. — „Kontakt radarowy z nieprzyjacielem”. Podać jego położenie, kurs i prędkość.

\* \* \*

Kontynuujemy polowanie — ucieszył się admirał Fraser po odebraniu sygnału od Burnetta. Sprawdził swój kurs i prędkość oraz położenie „Scharnhorsta”.

— Jest szansa — zatarł dłonie. — Jest szansa przychwycenia arktycznego pirata. Jest szansa odcięcia go od brzegów norweskich.

Wokół „Scharnhorsta” zaczęła się powoli zaciskać pancerna pętla. Kontradmiral Bey jednakże, pozbawiony działowego urządzenia radiolokacyjnego, jeszcze nie zdawał sobie sprawy ze zbliżającego się niebezpieczeństwa. W dalszym ciągu szukał zgubionego w polarnych ciemnościach konwoju.

## DRUGA RUNDA

Kontradmiral Erich Bey dokładnie o godzinie 12.00 rozkazał zmienić kurs „Scharnhorsta” na 315°. Był już zniecier-

pliwiony i zaniepokojony przeciągającym się poszukiwaniem w ciemnościach. Ostrożność nakazywała wycofanie się z coraz bardziej ryzykownej imprezy. Samotny, idący bez żadnej osłony, okręt liniowy, „oślepiiony” przez brak radaru mógł stanowić zbyt łakomy kąsek dla brytyjskiej marynarki wojennej.

A jeżeli zaobserwowane przez lotnika jednostki to ciężkie okręty Home Fleet? — zastanawiał się teraz Bey, krążąc po odkrytym pomoście bojowym „Scharnhorsta”. Nie zważał na lodowaty, sztormowy wiatr, nie zważał na osiadający wszędzie, zalepiający oczy, śnieg. Deprymowała go coraz bardziej panująca wokół nieprzerwana ciemność i brak jakichkolwiek efektów wielogodzinnych poszukiwań.

— Kręcimy się we mgle, sami, bez żadnej osłony — narzekał do komandora Hintzego.

— Możemy dołączyć do niszczycieli — poddał Hintze.

— Właśnie o tym myślałem. Jak daleko mamy do punktu X, Lanz? — zwrócił się do oficera nawigacyjnego.

— Piętnaście mil, panie admirale.

— Wysłać rozkaz do Johannessona, żeby rozpoczął patrolowanie kursem 270 stopni z punktu X w uprzednio ustalonym szyku — rozkazał. — A pan, Lanz, niech wyznaczy kurs zbieżny z kursem niszczycieli. Pójdziemy na ich spotkanie z prędkością 20 węzłów.

— Tak jest, panie admirale — komandor podporucznik Lanz znikł w kabinie nawigacyjnej.

Kontradmirał znowu rozpoczął gniewny, nerwowy marsz po omiatanym śniegiem pomoście okrętu liniowego.

— Kurs 240 stopni, panie admirale — meldował po chwili Lanz.

— Podać oficerowi wachtowemu.

Była godzina 12.20. Po stronie wschodniej niebo z lekka poszarzało. Widzialność poprawiła się nieco, silny wiatr przegnał na moment ciągnące wciąż nisko chmury.

— Panie admirale, prawo 90 obcy okręt — krzyknął nagle stojący tuż obok Beya obserwator, uzbrojony w silną lornetkę.

Bey podniósł do oczu swoją. W szarzyźnie arktycznego świtu dojrzał po prawej burcie w odległości około 6 mil ciemną, rozmazaną nieco odległością, sylwetkę okrętu wojennego.

— Znowu Anglicy? — zdziwił się. Nie przypuszczał, że jest to ten sam przeciwnik, którego zgubił przed dwoma godzinami.

W tym samym momencie komandor Addis na pomoście krążownika „Sheffield” również dojrzał przez szkła lornetki kadłub „Scharnhorsta”, idącego kursem prostopadłym do kursu okrętu angielskiego. Niemiec prezentował, na tle szarzejącego paski horyzontu na wschodzie, zupełnie wyraźnie swoją sylwetkę.

Jak na tarczy strzelniczej — przeleciało przez myśl kapitanowi Franklinowi, dowódcy artylerii na krążowniku „Sheffield”. Od kilku już minut działa jego okrętu były prowadzone na widocznego na ekranach radarów przeciwnika. Wiceadmiral Burnett zwlekał jednak z wydaniem rozkazu otwarcia ognia. Czekał, aż niepostrzeżony zbliży się na mniejszą odległość, chciał bowiem zaatakować jednocześnie i całą artylerią, i torpedami towarzyszących mu niszczycieli z eskorty konwoju JW 55B.

Komandor Addis ponownie nadał sygnał: „Nieprzyjacieli w zasięgu widoczności”.

Jeżeli my ich widzimy, to oni nas też — pomyślał Burnett wydając jednocześnie rozkaz otwarcia ognia krążownikom, a niszczycielom ruszenia do ataku torpedowego.

Prawie wszystkie działa zespołu angielskiego dały ognia



*Dziób oblodzonego „Scharnhorsta”*

równocześnie. Potężny huk przetoczył się nad morzem. „Scharnhorst” został na moment zasłonięty stromymi fontannami wody wyrzuconej w górę przez brytyjskie pociski.

W tym samym momencie sześć luf artylerii głównego kalibru 280 mm, umieszczonych w dwóch dziobowych wieżach „Scharnhorsta” o nazwach „Anton” i „Bruno”, uniosło się w górę i w majestatycznym obrocie skierowało na prawą burtę w stronę widocznego wciąż przeciwnika, błyskającego teraz pomarańczowymi ogniami salw.

— *Feuer!* — zakomenderował oficer artylerii niemieckiego okrętu.

Ku angielskim jednostkom, widocznym teraz w świetle wystrzałów ich własnych dział, pomknęły pociski niemieckie. Błyskawicznie przebyły niewielki, jak na kaliber artylerii głównej „Scharnhorsta”, dystans 6 mil i wzbily olbrzymie fontanny wody w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od czołowego okrętu angielskiego.

— Dziękuję, nie skorzystam — porucznik Gregory, stojący na pomoście bojowym „Norfolka”, nachylił się do swego kolegi.

Cały okręt zatrzęsł się jak od potężnego uderzenia gigantycznym młotem.

Nie ma żartów z kalibrem przeciwnika — myślał porucznik. Wystarczy, jak parę takich szaf, wyładowanych po brzegi materiałem wybuchowym, rozwali się koło burty. Nity popękają, turbiny wyskoczą z łożysk...

Druga salwa niemiecka wzbila wysokie, białe, pienne słupy wodne po przeciwnej burcie okrętu. Znowu wstrząs i mocarne uderzenie.

Cholerne szkopy! Wstrzeliwują się — porucznik mimo woli podziwiał doskonałą technikę nieprzyjacielskich artylerzystów. Oboramowują nas. Jedna salwa bliska, druga daleka, trzecia...

Porucznikiem rzuciło o wiatrochron pomostu bojowego. „Norfolk” zatrzymał się jakby na moment, a po chwili runął do przodu prosto w wyrastającą przed dziobem fontannę wzbitej w górę wybuchem wody.

No, tego już trochę za dużo — zaniepokoił się nie na żarty porucznik Gregory. Mimo powagi sytuacji, mimo narastającego coraz bardziej strachu, zwykłego, ludzkiego strachu, porucznika opanował wisielczy humor. Może właśnie w ten sposób chciał zamaskować strach, ukryć go przed sobą samym.

Im tam, na tym całym cholernym „Scharnhorście”, też chyba nie do śmiechu — obejrzał się w bok. Idące w szyku torowym krążowniki angielskie błyskały raz po raz pomarańczowo-czerwonymi światłami wystrzałów.

Przecież my nie strzelamy w końcu kartoflami — pocieszał się myślą o opalach, w jakich w tej chwili znajdowali się Niemcy. — Przecież nas jest trzech, na niego jednego...

W odległości kilkuset metrów dojrzał idące na pełnej szybkości cztery niszczyciele. Przeganiały gnane wiatrem sztormowe, wysokie fale, smukłymi dziobami rozcinały je, odrzucały na boki, wtaczały pod burty, spychały pod mielące wodę w szalonym rytmie śruby, spadały kadłubami z głośnym łomotem w otwierające się nagle przed nimi doliny wodne.

Idą do ataku — domyślił się porucznik.

Na pomoście bojowym niszczyciela „Musketeer” komandor Fisher prowadził zespół czterech okrętów do ataku torpedowego, wiceadmiral Burnett bowiem postanowił uderzyć od razu ze wszystkich możliwych stron.

„Scharnhorst” idzie sam — na ekranie radaru angielskiego okrętu flagowego widniało jedno echo, wyraźne echo dużego okrętu liniowego, nic poza tym — co prawda to dziwne, nieomal niemożliwe, ale jednak prawdziwe — myślał wiceadmiral.

— A więc jest szansa zniszczenia, a przynajmniej poważnego uszkodzenia nieprzyjaciela. Niech trafi choć kilka torped z trzydziestu dwóch, jakimi w tej chwili dysponują niszczyciele — kalkulował dalej Burnett — niech tylko uda się zmniejszyć prędkość „Scharnhorsta” choćby o kilka węzłów, to już nam nie ucieknie, to już doprowadzę go prosto pod lufy „Duke of York”.



*„Scharnhorst” idący z pełną prędkością*

— Nieprzyjacielski okręt zrobił gwałtowny zwrot — zameldowano z pomieszczenia radarzystów.

— Jaki jest nowy kurs?

— 120 stopni.

Ucieka na południowy wschód — stwierdził wiceadmirał.

— Zmienić kurs krążowników. Kontynuować pościg i ostrzał — rozkazał Burnett.

„Belfast”, „Norflok” i „Sheffield” zwinęły się w ciasnej pętli zwrotu. Z maksymalną prędkością gnały teraz za uciekającym, lecz wciąż strzelającym, nieprzyjacielem.

Komandor Fisher, który już ustawiał swe okręty do ataku torpedowego na niemiecki okręt liniowy, znalazł się nagle w niedogodnej pozycji. Między „Scharnhorsta” a niszczyciele weszły teraz trzy własne krążowniki, które osłaniały tym samym nieprzyjacielski okręt przed ewentualnym atakiem torpedowym niszczycieli.

— Stracona okazja, do diabła! — zaklął Fisher.

Dał rozkaz swym okrętom do zwrotu. Wąskie i długie kadłuby zaczęły się przewalać ciężko na obie burty, atakowane nadbiegającą od południowego zachodu falą. Trzeba było zwolnić.

Nieglupi manewr — komandor Fisher pochwalił dowódcę niemieckiego okrętu. Jeżeli będzie szedł tym kursem, nie dogonimy go nawet. A już najmniejszej szansy nie ma na atak torpedowy.

John McWhire, drugi oficer na statku bandery brytyjskiej, idącym w środkowej — najlepszej według opinii marynarzy arktycznych konwojów — kolumnie konwoju JW 55B, przejął wachtę od poprzednika dokładnie o godzinie 12.00 w południe.

Kapitan był na mostku.

— Robimy zwrot, Johny — poinformował drugiego oficera — przejmiesz prowadzenie statku po zwrocie.

— Co nowego poza tym?

— Nic nie wiadomo. To już trzecia zmiana kursu w ciągu ostatniej wachty. „Scharnhorst” musi być gdzieś w pobliżu.

— „Scharnhorst” — gwizdnął drugi oficer — bagatela. Nie moglibyśmy zafundować sobie na święta coś mniej imponującego?

— Nie wiedziałeś? — zdziwił się trzeci oficer.

— Co miałem wiedzieć?

— Że „Scharnhorst”...

— Spałem — drugi wzruszył ramionami. — Alarmu nie było, mam nadzieję — dorzucił.

— Ty to masz sen — trzeci oficer z podziwem pokręcił głową. — Ja nie mogę zasnąć. Pigułki już nie działają.

— A bo też i ja pigułka-  
mi się nie truję. Wolę bar-  
dziej naturalne środki. Po  
wachcie, takiej nocnej kie-  
dy przemarznieš na wy-  
lot, kiedy cię przewieje,  
przemrozi tak, że czujesz  
się jak sakramencki kawa-  
łek lodu wypłuty przez  
Neptuna aż pod sam cho-  
lerny biegun, to jak wtedy  
łykniesz szklanę gorącej  
herbaty pół na pół z ru-

*Angielski krążownik w czasie  
zimowego patrolu*



mem, powiadam ci, śpisz jak niemowlę. Bez snów i zaburzeń. Równe osiem godzin. Akurat od wachty do następnego budzenia.

— Próbowałem i tego — trzeci wzruszył ramionami. — Ale też nie działa.

— O, to źle z tobą, chłopie, jak już alkohol nie działa. Weź się w garść.

— Kiedy nie mogę. Zrozum, Johnny, że nie mogę. To ten sakramencki, ciągły strach co trzyma, o tu — położył rękę na żołądku — co nie chce puścić ani w dzień, ani w nocy. Trzyma i nie puszcza. Nie daje odpocząć ani chwili. Od momentu kiedy zostawia nas lądowa osłona lotnicza, do chwili kiedy rzucamy kotwicę. A i potem w porcie też — podczas wszystkich nalotów.

— Weź się w garść — drugi oficer poklepał trzeciego po plecach. — W końcu nie ma się czym przejmować. Woda tak cholernie zimna, że w razie czego — bez męczarni. Raz dwa i po krzyku. Szybciutko...

— Daj spokój, Johnny — trzeci ukrył twarz w dłoniach.

Drugi wyszedł na pomost. Sztormowy wiatr szarpał naciągniętą na głowę kapuzą grubej, podbitej futrem kurtki.

— Cholerny sztorm — wzdrygnął się. Czekają go cztery długie godziny spędzone na zasypywanym co chwila śniegiem mostku. A potem szybka kolacja, szklanka gorącej herbaty pół na pół z rumem i sen aż do północy, do następnej wachty.

Nagle, przez szum wichru walącego odbryzgami fal aż tu na mostek, doleciało do uszu drugiego oficera głuche, dalekie stęknienie. Odwrócił gwałtownie głowę w kierunku północno-wschodnim.

— Słyszałeś? — przywołał marynarza stojącego na drugim skrzydle mostku.

— Słyszałem, panie drugi.

— Cicho... znowu — drugi odsunął kapuzę z głowy, osłonił ucho dłonią.

— Strzelają.

— Może to nasza eskorta — zaczął marynarz.

— Nie, chłopie. Po pierwsze za daleko, po drugie to nie ten kaliber co na niszczycielach. To ciężka artyleria.

— Ciężka artyleria?

— Tak, chłopie. Daj znać do kapitana, że słychać salwy ciężkiej artylerii. O... teraz znowu.

Głośniejszy od poprzednich odgłos dalekiej salwy nadleciał z szarej, zasnutej deszczem i śniegiem, przestrzeni.

— Co się stało? — kapitan wynurzył się z kabiny sterowej.

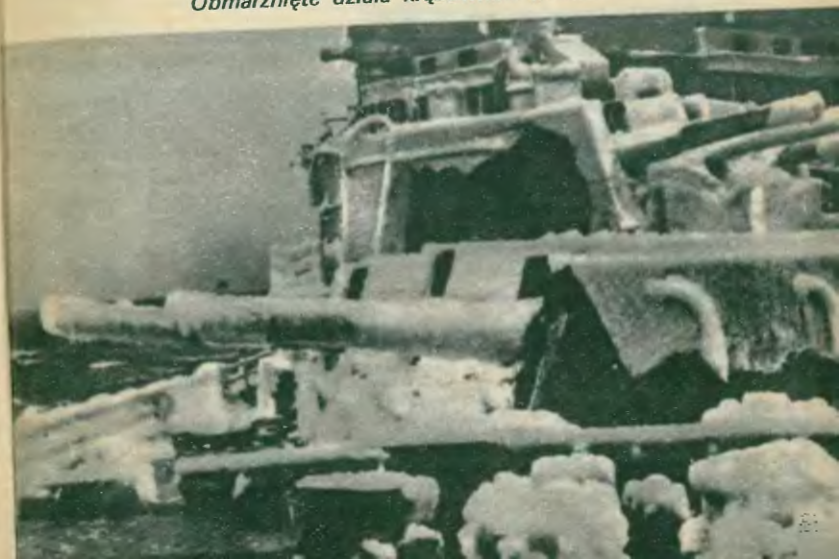
— „Scharnhorst” chyba się nam przedstawia, kapitanie — drugi oficer rozcierał rękawicami zmarznęte ucho. — Od północnego wschodu słychać salwy artylerii okrętowej. Chyba duży kaliber, o ile się znam na tym.

Zamilkli. Przez szum wiatru znowu dotarło do nich ciężkie stęknienie.

— Tak. Rzeczywiście — kapitan w zamyśleniu tął podbródek.

W oddali, w ciemnoszarym świetle polarnego brzasku, toczyła się walka. Kto z kim walczył? Jakie były siły wroga?

*Obmarznęte działa krążownika „Belfast”*



Kto stanął w obronie konwoju JW 55B? Jak potoczą się wypadki?

Takie pytania zadawali sobie w tej chwili wszyscy kapitanowie prowadzący statki konwoju, takie pytania dręczyły teraz wszystkich oficerów, wszystkich marynarzy, zamkniętych w kadłubach powolnych jednostek, które bezbronne i nieruchawe mogą już za kilkanaście minut znaleźć się oko w oko z potężnym niemieckim okrętem liniowym, o którego pojawieniu się w pobliżu dowiedzieli się z sygnału dowódcy eskorty.

Co przyniesie najbliższa przyszłość?

Na to pytanie nikt nie mógł teraz odpowiedzieć. Statki konwoju płynęły w dalszym ciągu nakazanym kursem. Trzeba było, jak przewidywały instrukcje konwojowe, pilnować swych miejsc w kolumnach i szeregach, pilnować odległości, wypatrywać w ciemnościach polarnej zimy mających przed dziobem kształtów poprzednika, trzeba było uważać, żeby walące o burty fale nie rzuciły statków w bok, nie zepchnęły na inne statki w kolumnach i szeregach konwoju.

— Oddalają się — John McWhire chwycił uchem słabnące, jak mu się wydawało, odgłosy artyleryjskich salw.

— Oddalają się — na pomostach dziewiętnastu statków, na pokładach niszczycieli eskorty przemarznięci marynarze oddychali swobodniej, gardła przestała dławić stalowa obręcz strachu.

Konwój szedł dalej...

\* \* \*

Komandor Donald Bain — dowódca krążownika „Norfolk” — obserwował przez szkła ciężkiej lornety, niknącą raz po raz w śniegowych szkwalach sylwetkę nieprzyjacielskiego okrętu.

— Żadnych trafień, jak na razie — komandor zwrócił się z wyraźną pretensją do dowódcy okrętowej artylerii.

— Niestety, sir. Nie zaobserwowaliśmy.

— Za to oni strzelają coraz lepiej — komandor wskazał

na wysokie fontanny wody obramowujące z obu stron jego okręt.

— Ja również odnoszę takie samo wrażenie, sir — stwierdził spokojnie dowódca artylerii krążownika „Norfolk”. Komandor Bain spojrział zaintrygowany na oficera.

Czy pan kpi, u licha — miał zamiar zapytać, gdy w tym samym momencie nagle uderzenie zważyło z nóg wszystkich stojących na pomoście.

— Rufowa wieża działowa trafiona — komandor leżąc na pokładzie pomostu usłyszał czyjś spokojny głos.

Ale ma nerwy — machinalnie pomyślał komandor. Podciągnął się na rękach, stanął. Syknął z bólu, który nagle odezwał się w nodze.

Złamana?

Spróbował raz jeszcze.

Boli, ale można ustać — stwierdził z zadowoleniem. — Pewnie silnie stłuczona.

Spojrzał z mostku w kierunku rufy okrętu. Zza trzech kominów sterczały pod jakimś nienaturalnym kątem dwie długie lufy rufowej wieży. Walily stamtąd gęste kłęby dymu.

— Meldować o uszkodzeniach — rozkazał komandor.

— Trafiona wieża numer 3. Unieruchomiony mechanizm obrotowy. Straty: prawdopodobnie cała załoga wieży 3. Pożar przenosi się w dół w kierunku pierwszej komory amunicyjnej.

— Otworzyć zawory zraszania.

— Nie można, prawdopodobnie popękane rurociągi.

— Zatopić komorę amunicyjną numer 3.

— Tak jest. Zatopić komorę, sir.

— Tu maszynownia na pomost. Melduje dowódca działu, komandor Roberts.

— Słucham, Roberts — komandor przejął słuchawkę. — Jak tam kotły i turbiny?

— Pęknięty górny rurociąg parowy prawej burty. Przeszliśmy na lewoburtowy. Turbiny nie wydają się uszkodzone.

— Dziękuję. Staraj się utrzymywać szybkość jak dotychczas.

— Tak jest, sir — usłyszał dowódca z głębi okrętu — postaramy się.

Tymczasem w pomieszczeniach pod wieżą numer 3 szalało piekło. Wybuch ciężkiego pocisku niemieckiego wtłoczył do pomieszczenia wieży śmiertelnie gorący język ognia. Cała obsługa wieży zginęła na miejscu, żaden z marynarzy nie zdążył nawet wykonać najmniejszego ruchu w kierunku wyjścia. Śmierć zastała ich w trakcie ładowania dział po kolejnej salwie. Dopiero po kilkunastu minutach, już po ugaszeniu pożaru, drużyny ratownicze w ochronnych, azbestowych ubraniach wkroczyły do gorącego pomieszczenia wypełnionego jeszcze trującymi wyziewami prochowego dymu i gazów spalonej siarki.

Trawiony pożarem krążownik walczył jednak nadal. Raz po raz sześć pozostałych dział głównego kalibru pluło ogniem i dymem. Ciężkie pociski mknęły za uciekającym pełną prędkością, odszczekującym się zajadle, „Scharnhorstem”. W głębi kadłuba, w maszynowniach i kotłowniach tkwili nieruchomi, czujni wachtowi. Palacze, smarownicy, mechanicy. Turbiny pracowały równo, powietrze wypełniał zapach rozgrzanych smarów i pary.

Okręt walczył.

Nagle całym kadłubem szarpnął ponownie gwałtowny wstrząs. W maszynowni drugiej z hukiem pękły żarówki.

Znowu trafienie — zarejestrował w myśli komandor mechanik Roberts. Błyskawicznie w świetle ręcznej latarki skontrolował manometry.

Bez zmian — ucieszył się. Wachtowi elektrycy zakładali już nowe żarówki. Błysnęły światła, rozświetliły ciasne, gorące wnętrza.

— Mostek do komandora — zameldował służbowy marynarz.

— Roberts — komandor usłyszał głos dowódcy okrętu — otrzymaliśmy znowu bezpośrednie trafienie w podstawę masztu. Został nam tylko jeden radar. Jak tam u was?

— Bez strat, sir.

— W porządku, Roberts. „Scharnhorst” zwiększa dystans. Nic nie możesz na to poradzić?

— Kotły i turbiny przeciążone do maksimum. To wszystko, co możemy dać.

— O. K., Roberts. Trzymaj się.

— Dziękuję, sir.

„Scharnhorst” tymczasem oderwał się od nieprzyjaciela. Mknął w dalszym ciągu — jak dotąd nietknięty w czasie drugiej rundy ani jednym pociskiem — całą mocą swych potężnych turbin w kierunku południowo-wschodnim. Z każdą minutą zwiększał dystans od goniących go krążowników i niszczycieli. Działa rufowych wież raz po raz wysyłały w stronę nieprzyjaciela ciężkie pociski.

\* \* \*

Starszy marynarz Hartley z załogi maszynowej krążownika „Sheffield” miał swoje stanowisko służbowe głęboko pod pokładem, nad samym dnem okrętu, w najdalszym jego rufowym zakamarku. Do obowiązków starszego marynarza należała opieka nad prawym wałem śrubowym. Odcięty od maszynowni, zamkniętymi w czasie alarmu bojowego drzwiami wodoszczelnymi, starszy marynarz Hartley był w tunelu zupełnie sam. Odgłosy toczącej się gdzieś tam u góry bitwy dobiegały do niego poprzez wodę morza za burtą. Każda salwa własnej artylerii odbijała się drganiem kadłuba, każda salwa z towarzyszących okrętów głuchym echem idącym przez wodę. Co kilka minut starszy marynarz Hartley miał wrażenie, że w burtę „Sheffielda” uderza potężny młot. To waliły w mknący okręt podwodne fale bliskich eksplozji pocisków „Scharnhorsta”.

Ostra walka idzie tam na górze — myślał flegmatycznie po każdym odgłosie eksplozji. Przesuwał się, ciężki i zwalisty, przez ciasne wnętrza tunelu oświetlonego rozstawionymi z rzadka lampami.

Nagle silniejsze od innych uderzenie pchnęło cały okręt w bok. Starszy marynarz wyraźnie czuł, jak stalowe blachy kadłuba poddają się tępemu ciosowi. Zgasły stłuczone za-

rówki. Tylko jedna błyszczała w ciemnościach, jakie zaległy tunel.

Gdzieś blisko — pomyślał Hartley.

Podniósł się z płyt tunelu, na które rzucił go wybuch. Na pozór w tunelu nic się nie zmieniło, wał kręcił się w dalszym ciągu w ciemnym półmroku, Hartley jednak wprawnym uchem wyłowił jakąś nieprawidłowość. Do monotonnego szumu obracającego się wału wkraśl się jakiś nowy, obcy dźwięk.

Dławica cieknie — domyślił się Hartley. Podeszedł aż do samego końca tunelu, spróbował usunąć uszkodzenie. Śruby mocujące były jednak jakieś wykrzywione, a ostatni odcinek wału drgał wyraźnie i wibrował.

Hartley podniósł słuchawkę telefonu. Zakręcił korbką. Połączył się z maszynownią.

— Tu prawy tunel wałowy, starszy marynarz Hartley. Melduję silny przeciek dławicy śrubowej. Ostatni odcinek wału chyba skrzywiony. Możliwe, że uszkodzona śruba. Łożyska wału grzeją się. Pęknięty przewód oleju smarnego.

— Przejdź na ręczne smarowanie łożysk. Sprawdzać temperaturę łożysk i meldować. Spróbować dociągnąć dławicę.

— Próbowałem. Nie można. Śruby skrzywione.

— Przyjęto. Meldować, gdyby temperatura się podniosła.

— Tak jest — Hartley odłożył słuchawkę i znowu został sam w prawym tunelu wału śrubowego krążownika „Sheffield”.

Temperatura łożysk wzrastała coraz gwałtowniej. Nie pomagało zasilanie kieszeni smarnych wciąż nowymi dawkami oleju. Wał śrubowy, a szczególnie jego ostatni odcinek, musiał być poważnie skrzywiony. Z uszkodzonej dławicy ciekła woda coraz gwałtowniejszym strumieniem.

Wreszcie na dnie krążownika zjawił się sam komandor Dibson, dowódca działu maszynowego okrętu.

Niestety, trzeba zwolnić, w przeciwnym razie staniemy na amen — zdecydował. W całym tunelu czuć było swąd rozgrzanego oleju. Pokryw łożysk nie można już było dotknąć

gołą ręką. Jeszcze trochę, a wytopią się — pomyślał komandor i ujął za telefon.

— Mówi komandor Dibson. Z dowódcą okrętu — rzucił w słuchawkę.

\* \* \*

Komandor Johannesson, posłuszny rozkazowi kontradmirała Beya, skrzył się z okrętami swego zespołu o godzinie 10.27 i podążył do przekazanego w rozkazie punktu zbornego X. Pięć niszczycieli, przedzierając się przez sztormową falę, dotarło tam dokładnie o godzinie 12.18 i zgodnie z poleceniem ruszyło na zachód. W kilka minut później obserwatorzy zameldowali błyski salw artyleryjskich w kierunku północno-wschodnim, w odległości około 20 mil.

To nie konwój — zdecydował Johannesson. — Gdyby tak było, Ahmed Bey na pewno by nas wezwał.

Niszczyciele niemieckie w dalszym ciągu szły kursem 270°. Uparcie szukały konwoju JW 55B w polarnej, zimowej szarudze. Obserwatorzy na próżno jednak wytyczali oczy, operatorzy urządzeń radiolokacyjnych daremnie stroili odbiorniki. Na ekranach nie było widać żadnego echa, prócz mylących odbić fal i gwałtownych, gnanych wichrem, opadów śniegu. Poszukiwany konwój znajdował się tymczasem zaledwie w odległości 10—12 mil na północ od niszczycieli komandora Johannessona.

## POGOŃ

O godzinie 12.41 wiceadmirał Robert Burnett wydał rozkaz zaprzestania ognia. „Scharnhorst” zwiększył swoją odległość na tyle, że salwy angielskie przestały mu praktycznie zagrażać. Ponadto dwa krążowniki zespołu kontradmirała — „Norfolk” i „Sheffield” były dość poważnie uszkodzone i nie mogły nawiązać równorzędnej walki z niemieckim okrętem liniowym, nawet gdyby mogły go dogonić.

Wiceadmirał Burnett uważał, że drugą rundę rozegraną

między „Scharnhorstem” a jego zespołem można uważać za remisową. Wprawdzie nie udało się artylerzystom okrętów angielskich uzyskać skutecznych trafień, jednakże cel ataku został osiągnięty: „Scharnhorsta” odpędzono od konwoju. A przecież obrona konwoju JW 55B była głównym celem wszelkich poczynań Burnetta, była pierwszoplanowym zadaniem, stojącym przed jego okrętami.

Słusznie zdecydowałem dwie godziny temu — myślał wiceadmirał o swoim rozkazie oderwania się od wroga i zawrócenia na północ. — Gdybym szedł za Niemcem, to w tej chwili znajdowałbym się za nim, a cały konwój przed lufami jego artylerii.

— Trzymać nieprzyjaciela w zasięgu radaru — rozkazał Burnett. — Meldować o pozycji, kursie i prędkości „Scharnhorsta” admirałowi Fraserowi.

\* \* \*

Kontradmirał Erich Bey spacerował nerwowo po pomoście bojowym „Scharnhorsta”. Już po raz drugi w tej wyprawie trafiał na uparte, odważnego przeciwnika.

Sytuacja robi się coraz bardziej beznadziejna — myślał. — Kręcimy się w kółko od czterech godzin, jeden radiolokator mam zupełnie zniszczony, drugi uszkodzony. Przy każdej zadymce jestem zupełnie ślepy. Czas ucieka, od południowego zachodu mogą nadejść jakieś cięższe okręty, a konwoju nie odnaleźliśmy dotychczas i nic nie wskazuje na to, że odnajdziemy w najbliższym czasie. Niszczyciele są w odległości dobrych 50 mil na zachód, na domiar złego Z-33 meldował o uszkodzeniach przez falę i musiał odejść do fiordu Alta. Okręty podwodne też nic nie wykryją w czasie takiej pogody. Co robić?

Nikt nie mógł dać odpowiedzi na to pytanie. Kontradmirał Bey musiał sam zdecydować.

— Przerwywamy operację — wydał wreszcie rozkaz — przyjąć kurs powrotny. Najkrótszą drogą. Do niszczycieli nadać sygnał o zakończeniu poszukiwań i polecić również zmienić kurs na powrotny do bazy. Prędkość 28 węzłów.



„Scharnhorst”

— Kurs 155 stopni — komandor porucznik Edgar Lanz wyznaczył drogę powrotną.

O godzinie 14.18 cztery pozostałe niszczyciele komandora Johannessona zrobiły ostry zwrot i idąc bokiem do fali ruszyły w kierunku Norwegii. Konwój JW 55B znajdował się w tej chwili w odległości około 35 mil od „Scharnhorsta”. Tyle samo dzieliło go od niszczycieli Johannessona. Krążowniki wiceadmirala utrzymywały się w odległości 12 mil za „Scharnhorstem”. Śledziły go pilnie na fosforyzujących ekranach radarowych, szły jego tropem jak gończe psy, które złapały grubego zwierza i teraz podprowadzają go pod stanowisko myśliwego.

A myśliwy zbliżał się od południowego zachodu. Kurs okrętów „Duke of York”, „Jamaica” i czterech niszczycieli przecinał się w wyznaczonym, na podstawie meldunków Burnetta, kursem „Scharnhorsta” w pozycji mniej więcej 72°30' N i 26° E.

Admirał Fraser zakreślił na mapie koło o promieniu około 20 mil.

— Tu powinniśmy go dopaść — wyjaśnił szefowi swego sztabu — jeżeli Burnett napędzi go pod nasze lufy. Musimy być jednak przed nim na tej pozycji, bo inaczej gotów nam umknąć. Jego prędkość jest nieco większa od naszej i wtedy...

Tak, właśnie — rozważał Fraser — inaczej cała misternie utkana siatka, w którą mam zamiar złapać „Scharnhorsta”, pęknie i znowu trzeba będzie wszystko zaczynać od nowa.

— Trzeba będzie podejść jak najbliżej do nieprzyjaciela — admirał Fraser przygotowywał wraz z oficerami swego sztabu plan przyszłej bitwy — na dystans około 6 mil i wtedy dopiero otworzyć ogień. Mam nadzieję, że nas do tego momentu nie wykryją, bo gdybyśmy musieli otworzyć ogień z większego dystansu, „Scharnhorst” będzie miał duże szanse na ucieczkę do norweskich fiordów.

\* \* \*

Tymczasem kontradmirał Bey, nieświadomy idącej mu na spotkanie eskadry Frasera, prowadził swój okręt wciąż niezmiennym kursem powrotnym. Od czasu do czasu, gdy wiatr przerwał zaslone z śnieżnych szkwałów, obserwatorzy niemieccy mogli zobaczyć, w odległości kilkunastu mil za rufą, jasne plamy fali czołowej idących z dużą prędkością krążowników angielskich. Ekrany urządzeń radiolokacyjnych nie wykazywały nic w dalszym ciągu.

— Wystawić wzmocnione posterunki obserwacyjne — rozkazał komandor Hintze. Czuł się zupełnie jak ślepiec szukający po omacku drogi do domu.

— Za nami sylwetki jedynie dwóch dużych jednostek — zameldował po chwili obserwator.

— W porządku. Widocznie trzeci z przeciwników zatonął po naszych trafieniach — ucieszył się Hintze. — Nadać do załogi wiadomość o sukcesie. Gratulacje dla artylerzystów.

Wiceadmiral Burnett na „Belfaście” w asyście „Norfolka” z uszkodzoną rufową wieżą i anteną radarową oraz czterech niszczycieli, które z największym trudem i wysiłkiem dotrzymywały kroku krążownikom, wytrwale śledził umykającego w kierunku Norwegii przeciwnika. Co kilka minut radiotelegrafiści brytyjscy wysyłali w eter meldunki o każdej zmianie kursu „Scharnhorsta”. W ten sposób admirał Fraser posiadał dokładne dane o nieprzyjacielu, bez potrzeby przerywania ciszy radiowej i zdradzania swej aktualnej pozycji.

— Niemcy nic nie wiedzą o naszym zespole — stwierdził Fraser, patrząc na nanoszony na mapę kurs „Scharnhorsta”. — W przeciwnym wypadku „Scharnhorst” nie szedłby prosto na nas. W tej chwili jest 16.00. Za jakieś 20 minut powinniśmy go mieć na ekranach. Podać do radarzystów ostrzeżenie. Meldować natychmiast o kontakcie.

\* \* \*

O godzinie 16.17 kontradmirał Bey rozkazał wysłać meldunek do kierownictwa Marynarki Wojennej: „Jestem śledzony przez nieprzyjacielskie okręty”. Wydając ten rozkaz miał na myśli jedynie, idące za nim trop w trop, krążowniki Burnetta.

\* \* \*

W tej samej minucie radarzysta na „Duke of York” meldował przejętym głosem:

— ECHO DUŻEGO OKRĘTU. NAMIAR ZERO DWA ZERO. ODLEGŁOŚĆ DWADZIEŚCIA DWIE MILE.

## FINAŁ

— Echo dużego okrętu — powtórzył admirał Fraser. — Nareszcie!

To mógł być tylko „Scharnhorst”, o którego każdym kroku meldował już od czterech godzin wiceadmiral Burnett. Kończyła się nagonka, zaczynało się właściwe polowanie.



*„Duke of York”*

— Nieprzyjaciół idzie stałym kursem — meldował radarzysta.

— W porządku — admirał Fraser był już teraz pewien, że Niemcy nie mają na ekranach swoich radiolokatorów okrętów jego zespołu. W przeciwnym razie nie szliby tak pewnie, tak prosto pod lufy ciężkiej artylerii.

— Utrzymywać w dalszym ciągu ten sam kurs i prędkość — admirał Fraser nie potrafił ukryć swego zadowolenia. Na jego twarzy zmęczonej wielogodzinnym czuwaniem widniał szeroki uśmiech. Nareszcie — myślał o oczekującej go bitwie — żeby teraz tylko nie przegapić czegoś, żeby nie popełnić jakiegoś błędu.

Skracać dystans aż do sześciu mil — zdecydował. — Dopiero wtedy wydać rozkaz do „Belfasta”, żeby oświetlił nieprzyjaciela rakietami na spadochronach, tak aby zawisły one między zespołem Burnetta a „Scharnhorstem”. My zostaniemy w mroku i wtedy otworzymy ogień z dział głównego kalibru. Równocześnie trzymać cały czas nieprzy-

jaciela w celownikach radiolokacyjnych, aby można było otworzyć ogień natychmiast, kiedy ewentualnie „Scharnhorst” zauważy nas i będzie chciał skrócić, żeby umknąć, lub kiedy gwałtownie zwiększy prędkość.

Zalogi okrętów brytyjskich opanowało pełne napięcia podniecenie. Radarzyści, monotonnymi na pozór głosami, podawali do centrali artyleryjskiej zmieniające się wciąż namiary.

Minuty mijały teraz wolno, bardzo wolno. Artylerzyści we wszystkich wieżach okrętu liniowego „Duke of York” wiedzieli już, że przed nimi, w odległości zaledwie kilkunastu mil, znajduje się najcięższa jednostka niemiecka, jaka w tej chwili może operować za kręgiem polarnym, że jest tam „Scharnhorst” — postrach arktycznych konwojów. Lufy ciężkich dział o kalibrze 356 mm — po cztery w wieży dziobowej numer 1 i rufowej numer 3 oraz dwie w wieży numer 2, umieszczonej tuż przed pomostem bojowym — obracały się wolno i zmieniały kąt podniesienia posłuszne przeliczeniom z centrali artyleryjskiej, gdzie przetwarzano cały szereg informacji, jak: położenie, kurs i prędkość nieprzyjaciela, prędkość i kurs własny, siłę wiatru i jego kierunek, stan morza.

Potężny okręt sposobił się do bitwy.

Dystans, dzielący jednostki zespołu admirała Frasera od nie spodziewającego się niczego wroga, malał z minuty na minutę.

— Szesnaście mil ... czternaście ... dwanaście...

Mają uszkodzone urządzenia radiolokacyjne — stwierdził raz jeszcze Fraser. — Przecież najwyraźniej nie wiedzą o naszej obecności. Jeszcze trochę, jeszcze poczekać. Do sześciu mil — postanowił.

O godzinie 16.45 admirał rozkazał przerwać ciszę radiową.

— Nadać przez radio rozkaz Burnettowi, żeby nam oświecił cel.

W parę minut później z krążownika „Belfast” wzbily się w górę pociski z rakietami oświetlającymi. Jaskrawe flary zawisły wysoko na rozpiętych spadochronach, oblewając,

idący wciąż kursem na południowy zachód, niemiecki okręt potokami srebrnego światła.

\* \* \*

— A to co znowu? — kontradmirał Bey wypadł z kabiny nawigacyjnej na pomost. Spojrzał w górę, gdzie zawisły jaskrawo płonące flary. — Zestrzelić mi je natychmiast! — krzyknął.

— Zestrzelić flary! — komandor Hintze wydawał już rozkaz kapitanowi Wietingowi, dowódcy artylerii przeciwlotniczej „Scharnhorsta”.

— Rozkaz, panie komandorze — lufy trzydziesteksiódmek unosiły się ku górze, prosto w jarzące się flary.

— Hintze — Bey omiatał lornetką horyzont, po stronie gdzie błyszczały rakiety — co meldują obserwatorzy z drugiej burty?

*Salwa dział głównego kalibru „Duke of York”*



— Żadnego obiektu w zasięgu widzialności, panie admira-  
rale.

— Nic nie widać?

— Nic.

\* \* \*

W tym samym momencie, w odległości zaledwie sześciu mil na południe od oślepionego światłami flar „Scharnhorsta”, admirał Fraser stojąc na pomoście ukrytego w mroku okrętu obserwował przez szkła lornetki ukazujące się wyraźnie kształty przeciwnika.

Miał go teraz, po tylu miesiącach oczekiwania, w zasięgu wzroku. Zgrabna, groźna sylwetka z dwoma wieżami w części dziobowej i jedną na rufie, z przysadzistym, jak u niszczy-  
ciela, rozszerzającym się u dołu kominem, z wyraźnie rysującymi się na jasnym tle flar dwoma dalmierzami. Na rufowej wieży działowej było widać nawet wyrzutnie torpedowe.

Jak na dłoni, jak na strzelnicy — Fraser aż drżał z emocji. Piękny, wspaniały w swej grozie obraz.

— Ognia! — rozkazał wreszcie.

— Ognia! — powtórzył natychmiast jak echo dowódca artylerii okrętowej.

Huk potężnej salwy rozdarł powietrze. Z sześciu dziobowych luf trysnęły długie płomienie i kłęby dymu. „Duke of York” szarpnął się na przeciwległą burtę pchnięty siłą od-  
rzutu. Sześć pocisków, każdy o wadze blisko 650 kilogramów, pomknęło ku odległemu zaledwie o 6 mil „Scharnhorstowi”.

\* \* \*

— Błysk salwy. Kierunek 190 stopni. Odległość 6—7 mil — zameldował obserwator na pomoście „Scharnhorsta”.

— Po prawej burcie? — zaskoczenie kontradmirała Beya było całkowite. W jednej chwili zrozumiał, że wpadł w pułapkę, w zastawione przez Anglików sidła.

Wszystko stało się jasne. To po to śledziły go tak uparcie brytyjskie krążowniki, to dlatego szły jego śladem od czterech

już godzin, to dlatego raz po raz radiotelegrafiści niemieccy łapali brytyjskie zaszyfrowane depesze, to wreszcie dlatego te oślepiające flary na spadochronach.

Komandor porucznik Brodenbrücker — dowódca artylerii okrętowej „Scharnhorsta” — również zauważył ogień salwy po prawej burcie i wydał rozkaz obrócenia dziobowych wież działowych w kierunku nowego, nie rozpoznanego jeszcze przeciwnika. Długie lufy zaczęły przesuwają się na prawą burtę, lecz w tym samym momencie „Scharnhorst” został obramowany sześcioma wysokimi fontannami wyrzucanej w górę wody.

Ciężka artyleria — poznał Brodenbrücker po wysokości wodnych gejzerów — to już nie krążowniki. Kaliber większy od naszego.

Kontradmiral Bey przebiegł na prawą burtę. Zwrócił lornetkę w kierunku, gdzie obserwator meldował ogień salwy. Nie czekał długo. W błysku nowej dostrzegł wyniosłą nadbudówkę, wieże działowe i dwa kominy.

— Do diabła — zaklął — to okręt liniowy.

— Hintze — zawołał — ostro w lewo. Kurs prosto na północ.

— Kurs 0 stopni — zakomenderował komandor Hintze.

Idący z dużą prędkością „Scharnhorst” pochylił się ciężko na burtę w nagłym zwrocie.

Mamy odciętą drogę do Norwegii — zorientował się Bey. Znajdowali się teraz w odległości zaledwie 70 mil od Przyłądka Północnego. Dwie i pół godziny jazdy z maksymalną prędkością i znaleźliby się na spokojnych, bezpiecznych wodach fiordu. Tylko dwie i pół godziny, ale na drodze ich stanął angielski okręt liniowy.

„Scharnhorst” płynął już kursem dokładnie północnym.

— Wieża rufowa ognia do nieprzyjaciela — rozkazał Bey.

— Wieża „Caesar” ognia — powtórzył komandor porucznik Brodenbrücker.

— Z lewej burty nowe rakiety — zameldował obserwator.

— To krążowniki — Bey skierował lornetkę na północny zachód.

Znowu w górę wzbily się jasne płomienie i zawisły nad okrętem.

— Krążowniki otwierają ogień — meldował znowu obserwator.

Od lewej burty wytrysnęły w górę fontanny wody.

— Dać sygnał do maszyn, żeby wydusili maksymalną moc. Niech König pokaże, co potrafi.

Komandor podporucznik Otto König, dowódca działu maszynowego „Scharnhorsta”, przekazał rozkaz Beya do kotłowni i maszynowni. Palacze błyskawicznie zmieniali palniki, mechanicy odkręcali ostatnie zawory regulacyjne turbin. Czerwone strzałki obrotomierzy pełzły w górę, trzy śruby poczęły kręcić się ze zdwojoną prędkością.

— Dwadzieścia dziewięć węzłów, trzydzieści, trzydzieści jeden... — kontradmirał Bey odczytywał na mostku wskazania logu — König stara się.

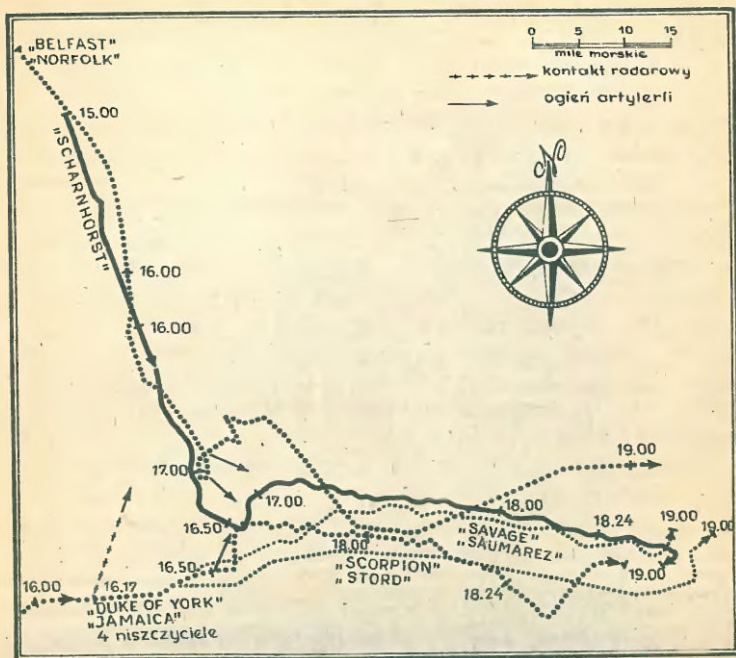
Wskazówka logu pięła się jeszcze bardziej ku górze.

— Brawo, König — cieszył się Hintze.

„Scharnhorst” mknął przez wzburzone morze z prędkością 32 węzłów. Zostawiał coraz bardziej z tyłu błyskający salwami angielski okręt liniowy, z każdą minutą zwiększał dystans. Kontradmirał Bey chciał najpierw oderwać się od okrętów admirała Frasera uciekając na północ, a później wykonując zwrot na wschód — od krążowników wiceadmirała Burnetta. Tylko w ten sposób mógł uniknąć walki nieomal wręcz, walki, której obawiał się ze względu na angielską przewagę, wyrażającą się zarówno liczbą okrętów i dział, jak i kalibrem tych ostatnich.

\* \* \*

Admirał Fraser uderzył we właściwym momencie. Rozpoczął on ostrzeliwanie „Scharnhorsta” z tak małego dystansu właśnie dlatego, że przewidywał natychmiastową ucieczkę Beya i jego chęć oderwania się. „Scharnhorst” dysponował przecież większą niż brytyjski okręt liniowy prędkością, a krążowniki i niszczyciele nie mogły dogonić Niemców przy takiej pogodzie, zresztą miały znacznie słabsze uzbrojenie.



### *Druga faza bitwy*

A w ten sposób, gdy Fraser zaatakował z dystansu zaledwie 6 mil, musiało upłynąć sporo czasu, zanim nieprzyjacielowi uda się umknąć poza zasięg dział „Duke of York”.

\* \* \*

Ciężkie pociski brytyjskie znalazły wreszcie cel. Bezpośrednie trafienie w wieżę artyleryjską numer 1 wstrząsnęło całym okrętem.

— Wieża „Anton” zniszczona. Pożar w pomieszczeniach pod głównym pokładem — meldował komandorowi Hintzemu dowódca oddziału awaryjnego.

Zaczęło się — zdążył tylko pomyśleć komandor, gdy „Scharnhorst” otrzymał kolejny cios.

— Zwrot na wschód — rozkazał.

Ciężki okręt gnał teraz zygzakując kursem 90°. Po kilku minutach przestały nadlatywać pociski ze strony krążowników wiceadmirała Burnetta. Wzburzone morze nie pozwalało im na rozwinięcie takiej prędkości, aby utrzymać „Scharnhorsta” w zasięgu swych dział. Krążownik „Jamaica” i cztery niszczyciele zespołu admirała Frasera też zostały w tyle. Te ostatnie otrzymały, już w parę minut po rozpoczęciu pojedynku artyleryjskiego, rozkaz podjęcia próby ataku torpedowego. Komandor Meyrick, dowódca niszczycieli osłony zespołu admirała Frasera, podzielił swoje okręty na dwie grupy. Sam na pokładzie „Savage” w towarzystwie niszczyciela „Saumarez” ruszył w kierunku bardziej północnym. „Scorpion” i norweski „Stord” szły równolegle do niego, ale bardziej na południe.

„Scharnhorst” musi w końcu zawrócić na południe i wtedy złapiemy go w dwa ognie — przewidywał komandor Meyrick. Admirał Fraser zostawił mu zresztą względną swobodę działania i rozkazał tylko: „zająć pozycję dogodną do ataku torpedowego” — trzydzieści dwie torpedy czekały w ruroch wyrzutni niszczycieli na dogodną okazję.

\*  
\*  
\*

— Kurs 135 stopni — rozkazał kontradmirał Bey. Chciał ustawić swój okręt pod takim kątem w stosunku do przeciwnika, ażeby w pojedynku mogły brać udział również działa drugiej wieży dziobowej, wieży „Bruno”. W momencie zwrotu zniszczona została na okręcie niemieckim burtowa bateria sto pięćdziesiątek. Cała obsługa zginęła na miejscu. Jednakże artylerzyści „Scharnhorsta” otrząsnęli się już z zaskoczenia. Pociski kalibru 280 mm z sześciu dział wież „Bruno” i „Caesar” padały coraz bliżej „Duke of York”. Dwa z nich trafiły w podstawę masztu, na szczęście jednak nie wybuchły. Uszkodzoną antenę radarową okrętu flagowego

admirała Frasera udało się naprawić i uruchomić w ciągu pół godziny.

„Scharnhorst” zostawiał przeciwnika coraz bardziej za sobą.

— Jeszcze pół godziny tym kursem, Hintze, i potem ostro na południe — kontradmirał Bey spoglądał z wzrastającą rozpaczą na pokład swego okrętu. W błyskach salw i niesamowitym świetle flar widział zniszczoną wieżę „Anton”, nienaturalnie wyłożone na burtę długie lufy dziobowych dział, rozbite baterie sto pięćdziesiątek, posiekane odłamkami pancerne blachy nadbudowy i osłon baterii.

Jeszcze nie wszystko stracone — Bey pocieszał sam siebie. Jeszcze maszyny są w porządku, jeszcze sześć dział walczy nadal.

Teraz, gdy „Duke of York” znajdował się w większej odległości od „Scharnhorsta”, angielskie pociski nadlatywały bardziej stromym torem i łatwiej przebijały pancerne blachy niemieckiego okrętu. Jeden z nich rozbił doszczętnie hangar. Płonąca benzyna lotnicza zalala niżej leżące stanowiska. Drużyny awaryjne z trudem walczyły z rozszerzającym się pożarem. Na pokład pędzącego przez wzburzone fale okrętu wdzierały się lodowate wody Morza Barentsa, zmywały za burtę marynarzy z drużyn ratowniczych, ciała zabitych i rannych.

Znowu dwa ciężkie pociski spadły na „Scharnhorsta”. Pierwszy z nich zniszczył urządzenia wentylacyjne wieży „Bruno”. Gęsty dym wypełnił wkrótce całe jej wnętrze, uniemożliwiając dalsze prowadzenie ognia. Drugi pocisk wybuchł w pierwszej kotłowni.

— Co się dzieje, König? — komandor Hintze daremnie usiłował połączyć się ze stanowiskiem dowódcy działu maszynowego. Z rozbitych przewodów buchała para, wystając się aż na pokład walczącego okrętu.

„Scharnhorst” wyraźnie zwalniał. Wskazówka logu opadała coraz bardziej w lewo.

— Dwadzieścia pięć węzłów, dwadzieścia.... dziesięć...

— Do diabła, Hintze, dowiedzieć się natychmiast co się dzieje! — kontradmirał Bey szalał na pomoście.

— Komandor König do dowódcy — zameldował wreszcie telefonista.

— Co z maszynownią, König? — Bey wyrwał słuchawkę z rąk marynarza.

— W pierwszej kotłowni uszkodzone rurociągi parowe prawej burty. Przelączamy na lewoburtowe. Kotły na szczęście prawie w porządku — meldował König. Głos jego dobiegał słabo przez hałas i gwizd uchodzącej widocznie z pękniętego rurociągu pary.

— Kiedy będziemy mieli znowu przyzwoitą prędkość? — denerwował się Bey. — Teraz każda minuta jest droga. Każda minuta oddala szansę ocalenia okrętu.

Wreszcie strzałka logu drgnęła. Bey patrzył na nią jak urzeczony. Poruszał bezgłośnie wargami jakby modlił się lub poganiał małą, czerwoną strzałkę.

— Szesnaście... osiemnaście... dwadzieścia dwa — wskazówka zatrzymała się.

— Dalej, dalej — wyszeptał błagalnie Bey.

Znowu ruszyła.

— Dwadzieścia trzy węzły, dwadzieścia cztery... dwadzieścia pięć... dwadzieścia sześć.

Przedstawię Königa do odznaczenia — pomyślał kontradmirał.

\* \* \*

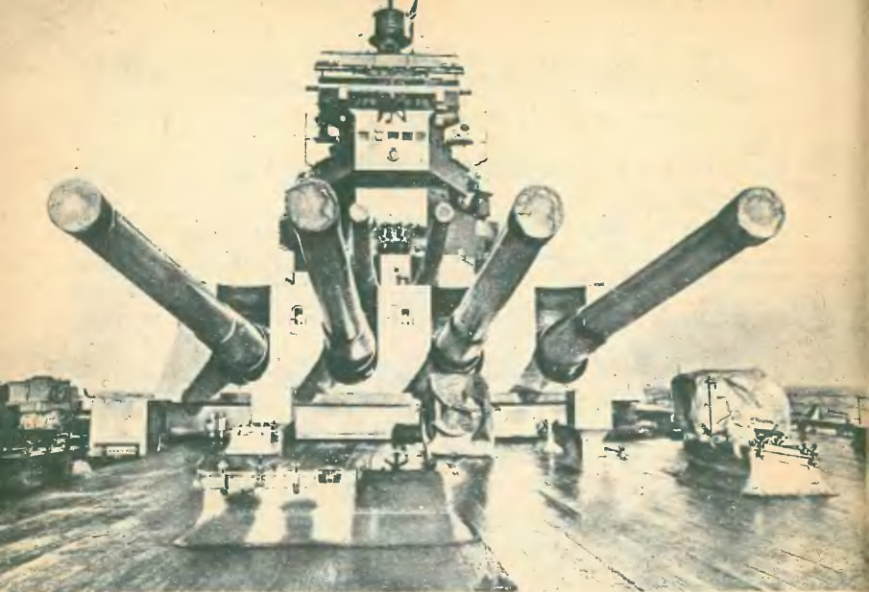
Tymczasem „Duke of York” zbliżył się ponownie do „Scharnhorsta”. Również dwa zespoły niszczycieli zdołały podejść tak blisko, że znalazły się nieomal między ciężkim okrętem brytyjskim i „Scharnhorstem”.

— „Idziemy do ataku” — zasygnalizował komandor Meyrick.

— Przerwać ogień — rozkazał admirał Fraser.

Była godzina 18.24.

— Atakuję od lewej burty. „Scorpion” i „Stord” od prawej — rozkazał komandor Meyrick.



*Dziła „Duke of York”*

Niszczyciele doganiały milczącego teraz „Scharnhorsta”. „Scorpion” i „Stord” zataczały się w głębokich brzdach sztormowych fal, kadłuby trzeszczały w wiązaniach pod naporem wściekłych uderzeń mas wodnych.

Rozwalimy okręt, nim dojdziemy do tego cholernego „Scharnhorsta” — myślał dowódca norweskiego „Storda”.

\* \* \*

O godzinie 18.50 komandor Hintze dojrzał przed dziobem swego okrętu, w odległości zaledwie półtorej mili, sylwetki dwóch przewalających się na fali niszczycieli.

— Prawo na burtę! — zakomenderował błyskawicznie. Wiedział, że w tym momencie z rur wyrutni na pokładach małych, tańczących na fali niszczycieli wpadają w wodę podłużne, śmiertelne cygara torped.

„Scharnhorst” skrzył gwałtownie.

Bey i Hintze wiedzieli, że teraz mogą tylko czekać. Czekać, czy śpieszące gdzieś pod powierzchnią wzburzonej wody torpedy trafią, czy miną potężny kadłub. Czas nagle zatrzymał się. Sekundy wydłużały się w minuty, minuty w godziny. Wszystkie lewoburtowe działa strzelały w kierunku odchodzących na północ niszczycieli.

Nagle gwałtowne uderzenie w lewą burtę wstrząsnęło okrętem.

A jednak... — zdołał pomyśleć Hintze.

— Niszczyciele! Dwa niszczyciele z prawej burty!

To zaatakował „Savage” i „Saumarez”. Dwanaście torped opuściło wyrzutnie i pomknęło ku strzelającemu wciąż „Scharnhorstowi”. Ogień dział „Scharnhorsta” przerzucił się na przeciwną stronę.

— W celu! — zameldował obserwator niemiecki.

„Saumarez” otrzymał bezpośrednie trafienie. Padli zabici i ranni. Z uszkodzonej kotłowni wydobywać się poczęły kłęby pary. Prędkość spadła do 10 węzłów.

Jednakże w tej samej minucie, jak zemsta za straty na niszczycielu, z prawej burty „Scharnhorsta” uniosły się w górę trzy fontanny wody. Trzy gwałtowne uderzenia targnęły okrętem. Trzy torpedy doszły celu.

Ciężko ranny „Scharnhorst” zwolnił. Przy największym wysiłku załogi maszynowej udało się osiągnąć zaledwie 22 węzły.

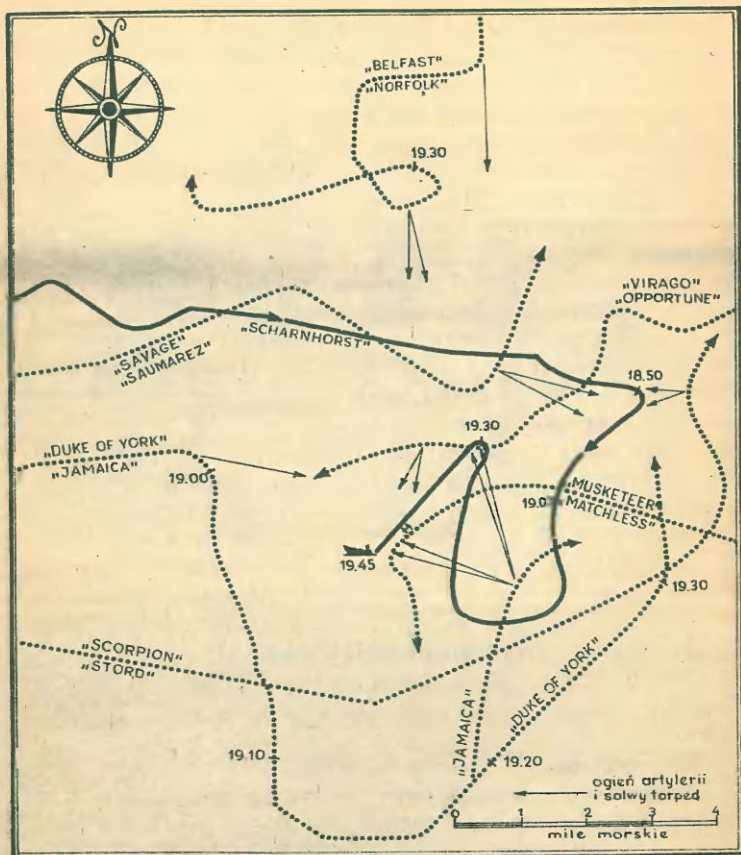
Bey siedł teraz prosto na południe.

Może jeszcze zdąży uciec — myślał rozpaczliwie. Nie wiedział, że od zachodu znowu podchodził „Duke of York”.

\* \* \*

O godzinie 19.00 admirał Fraser rozkazał znowu otworzyć ogień. Ciężkie pociski waliły raz po raz pancernymi taranami w dogorywający już okręt niemiecki. Wieża „Caesar” rozbita celnymi strzałami zamilkła ostatnia. Jedna po drugiej milkły baterie stopięćdziesiątek.

Groźny jeszcze przed godziną okręt liniowy zamienił się



### Trzecia faza bitwy

w dogorywający wrak. Od dziobu aż po rufę szalały pożary, sztormowa fala raz po raz zalewała pokład, zmywając z niego rannych i zabitych. Woda wdzierала się do pomieszczeń przez rozbite pokłady i burty, zatapiała je razem ze znajdującymi się tam marynarzami. Do okrętu flagowego dołą-

czyła się wkrótce artyleria krążownika „Jamaica”. Od północy nadlatywały pociski „Belfasta”.

O godzinie 19.30 admirał Fraser rozkazał znowu wstrzymać ogień. „Scharnhorst”, który pod ostrzałem brytyjskich okrętów skręcił na zachód, a następnie na północ, szedł teraz po kolejnym, już nie kontrolowanym, zwrocie w kierunku południowo-wschodnim z prędkością zaledwie 5 węzłów.

— Wykończyć go torpedami — wydał rozkaz dowódca Home Fleet. Chciał przypieczętować los pirackiego okrętu, „bohatera” korsarskiego rajdu na Południowy Atlantyk, jednego z przedstawicieli zbrodniczej Kriegsmarine.

„Jamaica” i „Belfast” ruszyły do ataku torpedowego. Znowu gwałtowne wybuchy rozdarły wewnątrz tonącego okrętu. „Scharnhorst” zwolnił jeszcze bardziej. Na pokład zaczęli wybiegać żyjący jeszcze członkowie załogi. Komandor Hintze wydał rozkaz opuszczenia okrętu.

Na arenę wkroczyli niszczyciele komandora Fishera, którym przed siedmioma godzinami nie udał się atak torpedowy na „Scharnhorsta”. Podeszły z obu stron do tonącego okrętu.

I ich torpedy trafiły do unieruchomionego prawie celu.

„Scharnhorst” tonął przechylony mocno na burtę. Z pokładu, dotykającego już wody, zsuwali się w dół ostatni rozbitkowie.

— Zanotować pozycję zatopienia nieprzyjaciela — rozkazał Fraser. — Przystąpić do podnoszenia z wody rozbitków.

— 72°16' N, 28°41' E — oficer nawigacyjny „Duke of York” narysował na mapie sylwetkę tonącego okrętu. Ozdobnym gotykiem wypisał obok nazwę: „Scharnhorst”.

\* \* \*

W ciągu następnej godziny w miejscu zatopienia krążyły okręty brytyjskie w poszukiwaniu rozbitków. Teraz nie byli oni już wrogami, teraz byli tonącymi, potrzebującymi pomocy marynarzami. Okręty angielskie podnosiły ich z wody zmarz-

niętych, na pół żywych. Podnosiły podkomendnych zbrodniczego Grossadmirala Dönitza, który niedawno przecieżywał rozkaz znany pod nazwą „Laconia Befehl”<sup>1</sup>, zabraniający ratowania w morzu rozbitków z zatopionych statków.

Noc, sztormowa pogoda i lodowata woda utrudniały akcję ratowniczą. Niszczyciel „Scorpion” wyłowił jedynie trzydziestu członków załogi „Scharnhorsta”. Odnalazł też i wyciągnął z wody pływające w pasie ratunkowym ciało komandora Hintzego. Inny niszczyciel, „Matchless”, uratował sześciu rozbitków.

Bitwa za Przylądkiem Północnym została zakończona. Również kompletnym fiaskiem zakończyła się operacja Kriegsmarine pod kryptonimem „Ostfront”.

Dziewiętnaście ciężko załadowanych statków konwoju JW 55B przedzierało się tymczasem przez burzliwe wody Morza Barentsa kursem prowadzącym do coraz już bliższego Murmańska.

<sup>1</sup> Patrz miniatura *Laconia*.

## BIBLIOGRAFIA

1. Bekker C. *Kampf und Untergang der Kriegsmarine*. Hannover 1953, A. Sponholtz Verlag.
2. Brookes E. *The Gates of Hell*. London 1960, Jarrolds Publishers Ltd.
3. Kosiarz E. *Bitwy morskie*. Gdynia 1964, Wydawnictwo Morskie.
4. Lipiński J. *Druga wojna światowa na morzu*. Gdynia 1962, Wydawnictwo Morskie
5. Romat E. *Combats sur mer de la Méditerranée au Cap Nord*. Paris 1964, l'ai Lu.
6. Roskill S. W. *The War at Sea 1939—1945*. London 1960, Her Majesty's Stationery Office.
7. Schofield B. B. *The Russian Convoys*. London 1964, B. T. Batsford Ltd.
8. Tuleja T. V. *Eclipse of the German Navy*. London 1959, J. M. Dent and Sons Ltd.





Jency z „Scharnhorsta” schodzą na ląd w Anglii

EO.

WOJEWÓDZKA  
I MIEJSKA  
BIBLIOTEKA  
PUBLICZNA  
W GDAŃSKU

1526

